

Horowitz Anthony

Diamenty sokoła

Przekład Jan Hensel

*Dla Dursleya McLindena, odtwórcy roli
Tima Diamenta w filmie i serialu telewizyjnym*

Tajemniczy depozyt

W Fulham nic ma szczególnego zapotrzebowania na prywatnych detektywów.

Dzień, w którym to wszystko się zaczęło, nie należał do najlepszych. Wszystko waliło nam się na głowy. Rano, w jeden z najmroźniejszych poranków od dwudziestu lat, odcięto nam ogrzewanie. Tylko patrzeć, kiedy to samo stanie się z elektrycznością. Skończyło się jedzenie, a ludzie ze sklepu na parterze zrywali boki ze śmiechu, kiedy zaproponowałem, że kupię coś na kredyt. Zostały nam tylko dwa funty i trzydzieści siedem pensów oraz trzy łyżeczki kawy rozpuszczalnej, co musiało wystarczyć na cały weekend. Tapeta się odklejała, dywany były brudne i zdeptane, a zasłony... No cóż, kłopot z zasłonami polegał na tym, że nie można ich było niczym zasłonić. Nawet karaluchy pouciekały.

Właśnie zacząłem się zastanawiać, czy przypadkiem nie nadszedł czas, żeby zrobić coś konstruktywnego - na przykład spakować manatki i wrócić do mamusi - kiedy otworzyły się drzwi i wszedł karzeł.

No dobra, może nie należy ich w naszych czasach nazywać karłami. Teraz mówi się chyba „wysocy inaczej”, ale prawda jest taka, że gość naprawdę był mikrusem. Miałem dopiero trzynaście lat, a przerastałem go o dobre dziesięć centymetrów i kiedy spojrzał na mnie zimnym, mściwym wzrokiem, zdałem sobie sprawę, że on też to widzi i nigdy mi nie daruje.

Miał chyba około czterdziestki, chociaż trudno to było ocenić przy jego wzroście. W każdym razie mieliśmy do czynienia z miniaturą brązowookiego, śniadego mężczyzny z zadartym nosem. Gość miał na sobie trzyczęściowy garnitur, tylko że każda część była od innego kompletu, jakby się ubierał w wielkim pośpiechu. Skarpetki też miał nie do pary. Jego górną wargę porastał starannie przystrzyżony czarny wąs, a włosy były zaczesane do tyłu i tak tłuste, że można by na nich ugotować rosół. Całości obrazu dopełniały muszka w groszki i błyszczący złoty sygnet. A był to dziwny obraz.

- Proszę wejść, panie... - zaczął mój brat.

- Neapol - powiedział karzeł, który właściwie był już w środku. Może miał włoskie nazwisko, ale mówił z południowoamerykańskim akcentem. - Johnny Neapol. A pan to Tim Diament?

- Tak, to ja - zełgał mój brat. Naprawdę nazywał się Herbert Timothy Simple, ale kazał na siebie mówić Tim Diament. Uważał, że to bardziej pasuje do jego „zawodowego image'u”. - Co mogę dla pana zrobić, panie Mediolan?

- Neapol - poprawił go karzeł, po czym wdrapał się na krzesło. Jego nos znalazł się dokładnie na wysokości blatu biurka. Herbert odsunął na bok przycisk do papieru, żeby widzieć oczy nowego klienta. Karzeł już miał się odezwać, gdy nagle rozmyślił się i łypnął na mnie podejrzliwie.

- Kto to? - zapytał.

- On? - uśmiechnął się Tim. - To mój młodszy brat. Może się pan nim nie przejmować, panie Naopał.

Neapol położył wypielęgnowaną dłoń na biurku. Na sygnecie widniały inicjały JN, chociaż wokół środkowego palca przybysza było tyle złota, że spokojnie można było wygrawerować pełne imię i nazwisko. I jeszcze dorzucić adres.

- Chcę u pana coś zdeponować - oznajmił.

- Zdeponować? - powtórzył zupełnie niepotrzebnie Herbert. Karzeł mógłby mówić nie z hiszpańskim, ale z marsjańskim akcentem, lecz to mój kochany braciszek był nie z tej ziemi.

- To znaczy... jak w banku? - dopytywał się. Bystrzak z niego, co?

Karzeł podniósł wzrok, wbił spojrzenie w pęknięcie na suficie, po czym z ciężkim westchnieniem popatrzył znowu na Herberta.

- Chcę zostawić u pana paczkę - powiedział prędko. - Zależy mi, aby się pan nią zaopiekował. Żeby ją pan po prostu tutaj bezpiecznie przechował.

- Jak długo?

Oczy karła strzeliły w stronę okna. Przełknął z wysiłkiem ślinę i poprawił muszkę. Widać bał się czegoś albo kogoś na ulicy.

- Nie wiem - odrzekł. - Jakiś tydzień. Przyjdę i odbiorę depozyt... kiedy będę mógł. Nie wolno go panu wydać nikomu oprócz mnie. Rozumie pan?

Neapol wyciągnął paczkę tureckich papierosów i zapalił jednego. Smuzka błękitnego dymu, gnąc się jak wąż, wzbijała się pod sufit. Mój brat wrzucił do ust gumę do żucia. Spudłował i guma zniknęła za jego ramieniem.

- Co jest w tej paczce? - zapytał.

- Nie pański interes - oznajmił karzeł.

- Dobra. W takim razie porozmawiajmy o interesach.

- Herbert potraktował klienta jednym ze swoich uśmiechów w stylu „Nie zadzieraj ze mną, koleś”. Wyglądał przy tym tak groźnie, jak krowa ze wzdęciem. - Nie jestem tani

- ciągnął. - Jak chcesz pan taniego detektywa, to se szukaj na cmentarzu. Chcesz pan, żebym się zaopiekował tą paczką? To będzie kosztować.

Karzeł sięgnął do kieszeni marynarki i wydobyl pierwszą dobrą rzecz, jaką widziałem od tygodnia: dwadzieścia portretów Jej Królewskiej Mości, każdy wydrukowany w brązowych barwach. Innymi słowy, plik nowiutkich, czyściutkich dziesięciofuntówek.

- Ma pan tu dwieście funtów - powiedział.

- Dwieście? - zapiszczał radośnie Herbert.

- Dodam do tego jeszcze sto, kiedy przyjdę odebrać paczkę. Mam nadzieję, że tyle wystarczy.

Mój brat pokiwał głową, szczerząc radośnie zęby. Postawić takiego za tylną szybą samochodu, a nie potrzeba plastikowego pieska.

- Dobrze. - Karzeł zgasił do połowy wypalonego papierosa, zeskoczył z krzesła, po czym wyjął z drugiej kieszeni zwyczajną brązową kopertę wypchaną czymś prostokątnym. Paczuska zagrzechotała lekko, kiedy kładł ją na biurku.

- Oto paczka - oznajmił. - Proszę jej pilnować, panie Diament, jak oka w głowie. I nie wolno jej panu otwierać. Pod żadnym pozorem.

- Może mi pan ufać, panie Napalm - wymamrotał mój brat. - Pańska paczka jest w bezpiecznych rękach.

Zamachał jedną z bezpiecznych rąk, a kubek z kawą śmignął z chlupotem w powietrze.

- A jeśli będę się musiał z panem skontaktować? - zapytał po namyśle.

- Nie skontaktuje się pan - uciał Neapol. - To ja się z panem skontaktuję.

- Nie ma się co denerwować - uspokoił go Herbert. W tym momencie na ulicy strzeliła rura wydechowa.

Karzeł jakby wyparował. W jednej chwili stał przy biurku, a w następnej kurczył się pod nim z ręką pod marynarką. Coś mi mówiło, że jego palec nie owijał się wokół kolejnego pliku banknotów. Przez jakieś pół minuty nikt się nie ruszał. Potem Neapol podkradł się do okna i wyjrzał na zewnątrz. Aby tego dokonać, musiał stanąć na palcach i oprzeć ręce o parapet. Przytknął twarz do szyby. Kiedy się odwrócił, na oknie zostało mokre kółko. Pot i łój.

- Do zobaczenia za tydzień - powiedział, po czym co sił w krótkich nóżkach pobiegł do drzwi. - Proszę jej pilnować, panie Diament. Jak oka w głowie! - powtórzył i zniknął.

Mój brat nie posiadał się z radości.

- Dwieście funtów za opiekę nad kopertą - zakrakał. - To mój szczęśliwy dzień. To najlepsza rzecz, jaka mnie spotkała od roku.

Rzucił okiem na pakunek.

- Ciekawe, co to jest? - wymamrotał. - Ale co nas to obchodzi? To chyba nie nasze zmartwienie.

Tak się przynajmniej Herbertowi wydawało. Ja natomiast od samego początku nie byłem tego taki pewien. W końcu dwieście funtów to, nie da się ukryć, dwieście funtów, a jak ktoś szasta takimi pieniędzmi, musi mieć dobry powód. Poza tym pamiętałem wyraz twarzy karła, kiedy strzeliła rura wydechowa. Może był małym facetem, ale z pewnością obawiał się dużych kłopotów.

Jak dużych, miałem się niedługo przekonać.

Tim Diamant sp. Zoo.

Dwieście funtów wystarczyło na mniej więcej pół dnia. Ale była to bardzo dobra połowa.

Zaczęliśmy od uczyty w restauracji za rogiem. Podwójne jajka, podwójne kielbaski, podwójne frytki i podwójne grzanki. Ale żadnej fasoli. Przez większość tygodnia fasola stanowiła podstawę naszej paszy. Doszło do tego, że zacząłem mieć koszmary o gigantycznej puszcze heinza, goniącej mnie po High Street.

Potem Herbert dał ogłoszenie, że szuka sprzątaczkę. Wariacki pomysł, szczerze mówiąc. Nie było nas stać na sprzątanie - ale z drugiej strony, gdybyście widzieli, w jakim stanie było nasze mieszkanie, może byście zrozumieli. Wszędzie kurz, w zlewie stos brudnych naczyń. Brudne skarpetki porzucane po dywanie od sypialni aż po drzwi wejściowe, jakby próbowały o własnych siłach dopełznąć do pralni. Następnie pojechaliśmy autobusem na West End. Herbert kupił mi nową marynarkę do szkoły, a sobie sprawił podgrzewaną bieliznę i śliczny termofor. Po tym wszystkim zostało nam akurat tyle forsy, żeby kupić dwa bilety do kina, więc poszliśmy na *101 dalmatyńczyków*. Herbert cały czas beczał. Ronił rzęsiste łzy nawet w czasie reklam. Taki już z niego facet.

Może się to wydać dziwne, że mieszkamy razem i tak dalej. Wszystko zaczęło się jakieś dwa lata temu, kiedy nasi rodzice ni z gruszki, ni z pietruszki zdecydowali się wyemigrować do Australii. Herbert miał wtedy dwadzieścia osiem lat. Ja właśnie skończyłem jednaście.

Mieszkaliśmy w wygodnym domu w miłej dzielnicy Londynu. Wciąż pamiętam adres: Wiernotta Mews 1. Tata pracował jako domokrążca; krążył od domofonu do domofonu i nagabywał ludzi, żeby kupili od niego nowe drzwi. Miał duży asortyment: modne rozsuwane drzwi francuskie i tradycyjne drzwi angielskie - wyprodukowane w Korei sto procent

mahoni. Naprawdę kochał te drzwi. Nasz dom, jedyny na całej ulicy, miał siedemnaście par drzwi wejściowych. Mama pracowała na pół etatu w sklepie ze zwierzętami. Wpadła na pomysł, żeby wyemigrować, kiedy tak mocno dziobnęła ją papużka nicrozłączka, że trudno je było rozłączyć. Jeśli o mnie chodzi, wyjazd wcale mi się nie uśmiechał, ale myślicie, że ktoś mnie pytał o zdanie? Wiecie, niektórzy rodzice uważają dzieci za swoją własność. Nie mogłem nawet kichnąć bez pisemnego zezwolenia w dwóch jednobrzmiących egzemplarzach.

Ani ja, ani Herbert nie potrafiliśmy się dogadać z rodzicami. To nas łączyło. No i oczywiście to, że ze sobą też nie potrafiliśmy się dogadać. On właśnie wstąpił w szeregi policji (to było tydzień przedtem, nim Policyjny Ośrodek Treningowy w Hendon poszedł z dymem, by już nigdy nie powrócić). Tak więc Herbert potrafił (mniej więcej) o siebie zadbać, ale ja oczywiście miałem tyle wolności, co stolik do kawy.

- Spodoba ci się Australia - powiedział tata. - Są tam kangury.

- I bumerangi - dodała mama. - I wspaniałe klonowe drzwi... - I misie koala.

- Nie jadę! - powiedziałem. - Jedziesz! - ryknęli rodzice.

To tyle, jeśli chodzi o rozsądną rozmowę.

Pojechałem z nimi na Heathrow, ale nie dalej. Kiedy miał startować samolot do Sydney, wymknąłem się tylnymi drzwiami i uciekłem z lotniska, a potem pojechałem na Fulham Road. Później powiedzieli mi, że dziesięć tysięcy metrów nad Bangkokiem mama wpadła w histerię.

Od tamtej pory Herbert zdążył skończyć z pracą w policji, czy też, dokładniej mówiąc, to policja skończyła z Herbertem. Doigrał się, kiedy pokazał komuś drogę do banku. Trudno go winić za to, że ten ktoś ów bank obrabował. Choć, prawdę mówiąc, nie powinien był przytrzymywać mu drzwi, kiedy wychodził. W międzyczasie Herbert zdołał zaoszczędzić trochę grosza i wynajął obskurne mieszkanie przy Fulham Road nad supermarketem i zamierzał zostać prywatnym detektywem. Na naszych drzwiach widniał więc napis:

TIM DIAMENT SP. Z O.O. Prywatny detektyw

Po wejściu do środka szło się po schodach na górę do przeszklonych drzwi, które z kolei prowadziły do jego biura: wąskiego pokoju z czterema oknami z widokiem na ulicę. Stamtąd drugie drzwi prowadziły do kuchni, a schody pięły się dalej na drugie piętro, gdzie mieliśmy sypialnię i wspólną łazienkę. Mieszkanie zostało Herbertowi udostępnione po niewiarygodnie niskiej cenie, pewnie dlatego, że cały budynek groził zawaleniem. Schody skrzypiały niebezpiecznie, a rury jęczały i gulgotały złowrogo. Nigdy nie widzieliśmy właściciela. Chyba bał się zbliżać do tej rudery.

Ciemnowłosy i niebieskooki Herbert był całkiem przystojny - przynajmniej, gdy się patrzyło z drugiej strony ulicy w mglisty dzionek. Ale co Bozia dała w urodzie, to odebrała w mózgownicy. Być może, byli gorsi prywatni detektywi niż Tim Diament (jedyne zoo, jakie miał, to karaluchy, które rzeczywiście musiały spółkować na potęgę, bo mnożyły się w nieprawdopodobnym tempie). Ale wątpię.

Dam przykład. Pierwszą robotą, jaką dostał, było odnalezienie syjamskiego kota pewnej bogatej damy. Udało mu się przejechać biedne zwierzę, gdy wybierał się na spotkanie z klientką. Następna była sprawa rozwodowa. Powiecie, że to normalka, ale jego klienci byli całkiem szczęśliwi, dopóki Herbert nie zjawił się w ich życiu.

Trzeciej sprawy w ogóle nie było.

W każdym razie Herbert nie skakał z radości, kiedy po ucieczce z Heathrow zjawiłem się w jego domu. A dokąd niby miałem pójść? Kłóciliśmy się. Powiedziałem mu, że *tofait accompli*. Potem znowu się kłóciliśmy. Powiedziałem mu, że *fait accompli* znaczy „fakt dokonany”, i ostatecznie pozwolił mi zostać.

Nie przeczę, często zastanawiałem się, czy podjąłem właściwą decyzję. Po pierwsze, kiedy mówię, że lubię zjeść jeden gorący posiłek dziennie, nie mam na myśli „gorącego kubka” Knorra. Zaczynanie zimowego semestru w ubraniach, z których się wyrosło rok temu, nie należy do przyjemności, zwłaszcza jeśli ma się na nogach skarpetki, w których jest więcej dziur niż w szwajcarskim serze. Na nic nie było nas stać. Rząd Jej Królewskiej Mości pomagał Herbertowi co nieco, dając zasiłek, a rodzice od czasu do czasu przysyłali czek na moje utrzymanie, ale i tak nigdy nie mogliśmy związać końca z końcem. Próbowałem przekonać Herberta do podłapania jakiejś rozsądnej roboty - czegokolwiek oprócz pracy w charakterze prywatnego detektywa - ale były to wysiłki beznadziejne. Równie beznadziejne jak sam Herbert.

Tak czy siak, wróciliśmy do domu około jedenastej i szliśmy właśnie na drugie piętro, minąwszy biuro, kiedy Herbert nagle się zatrzymał.

- Poczekaj, Nick - powiedział. - Czy zostawiłeś otwarte drzwi?

- Nie - odrzekłem, zgodnie z prawdą.

- To dziwne...

Miał rację. Drzwi do biura były otwarte, a światło księżycy sączyło się przez szparę, jakby ktoś wylał na podłogę puszkę srebrnej farby. Zeszliśmy na pierwsze piętro i weszliśmy do biura. Zapaliłem światło.

- O rany - powiedział mój brat. - Zdaje się, że mieliśmy gości.

Mało powiedziane. Tabun słoni zostawiłby po sobie większy porządek. Biurko zostało wypatroszone, dywany poodwijane, zasłony i półki zerwane, a stara kartoteka rozebrana na dziesiątki szufladek. Nawet telefon był rozwalony, a jego części walały się po podłodze. Ktokolwiek tu był, wykonał swoją robotę sumiennie. Gdybyśmy zostali zaproszeni na ślub, moglibyśmy zabrać ze sobą biuro w charakterze confetti.

- O rany - powtórzył Herbert. Wszedł do środka i podniósł z podłogi rozkwaszonego kaktusa. Chwilę później upuścił go, a szczeka zjechała mu do poziomu kolan.

- Jejuniu! - wrzasnął. - Koperta!

Podbiegł do biurka i zaczął szperać w tym, co wyglądało na pozostałości górnej szuflady.

- Zostawiłem ją tutaj - jęknął i osunął się na podłogę. - Nie ma! - wyszlochał.

Wstał i zacisnął pięści.

- To była moja pierwsza robota od sześciu miesięcy. I nawaliłem. Wiesz, co to znaczy, prawda? Nie dostaniemy tych stu funtów i pewnie będziemy musieli zwrócić te dwieście, które już wydaliśmy. Ale katastrofa! Ojejku-jejku! Nie wiem dlaczego, braciszku, naprawdę nie wiem! To po prostu niesprawiedliwe!

Wymierzył biurku potężnego kopniaka. Coś chrupnęło i mebel rozsypał się na drzazgi. Spojrzał na mnie.

- No, nie stój tak - warknął.

- A co mam niby zrobić? - zapytałem.

- No... powiedz coś.

- Dobra - powiedziałem. - Nie sądziłem, że to dobry pomysł zostawiać paczkę w twoim biurku...

- Dzięki, że mówisz mi o tym właśnie teraz - jęknął Herbert. Wyglądał, jakby miał się za chwilę rozplakać.

- Nie sądziłem, że to dobry pomysł - ciągnąłem - więc wziąłem paczkę ze sobą.

Wydobyłem kopertę z kieszeni kurtki, gdzie spoczywała przez cały wieczór.

Mój brat złapał ją i dał mi wielkiego, oślizgłego buziaka. Nawet mi nie podziękował.

Grubas

Nie wyspaliśmy się za bardzo tamtej nocy. Nie mogliśmy posłać łóżek, bo ktoś posłał je już do wszystkich diabłów. Ten, kto zdemolował biuro, zrobił to samo z resztą mieszkania. Potrzeba było czterdziestu gwoździ i dwóch tubek kleju, nim łóżka zaczęły przypominać coś

w rodzaju leżanek. Na dodatek Herbert przykleił się do klamki i kolejną godzinę spędziłem, uwalniając go za pomocą kuchennego noża. Kiedy skończyłem, zaczęło świtać, a ja byłem zbyt zmęczony, żeby zasnąć. Herbert wysłał mnie po chleb i nastawił czajnik. Przynajmniej czajnika nam nie zepsuli.

Na wycieraczkę leżały trzy listy i przyniosłem je razem z chlebem. Pierwszy okazał się zwykłym rachunkiem, drugi wysłano z Sydney w Australii. Trzeci nie został dostarczony przez listonosza, nie miał znaczka ani pieczętki.

Herbert posłał rachunek do kosza, a ja otworzyłem list z Australii.

Kochany Herbercie i Nicku!

Tylko kilka słów, bo razem z tatą wybieramy się na grilla. W Australii wszyscy grillują. Pogoda jest wspaniała. Ciągle świeci słońce - nawet, kiedy pada deszcz. Naprawdę powinniście przyjechać.

Mam nadzieję, że dobrze się miewacie. Bardzo, bardzo za Wami tęsknimy. Rozwiązaliście już razem jakąś sprawę? W Anglii musi być teraz bardzo zimno, więc pamiętajcie, żeby nosić ciepłe kamizelki. Wiem, że drapią, ale zapalenie płuc też nie jest przyjemne. Dołączam czek, żebyście mogli sobie coś kupić u Marksa i Spencera.

Muszę iść. Tata już stoi w drzwiach. Właśnie kupił nowe.

Niedługo znowu do Was napiszę.

Całuski, Mama

List został napisany na pocztówce ze zdjęciem opery w Sydney. Do kartki mama przyklepiła spinaczem czek na siedemdziesiąt pięć funtów. Nie była to fortuna, ale przynajmniej będzie za co kupić kilka tubek kleju.

Trzeci list był najbardziej interesujący. Został napisany na maszynie na dużej kartce, ale wiadomość należała do zwięzłych:

DIAMENT BĄDŹ NA TRAFALGAR SQUARE O 13.00 GRUBAS

- Kto to, do cholery, jest Grubas? - zapytałem.

- Grubas... - wymamrotał Herbert.

Jego twarz zrobiła się biała jak prześcieradło. Rozdziawił szeroko usta. Ostatnio widziałem tę minę, kiedy znalazł w łazience pająka.

- Kto to taki?

Herbert złapał list tak mocno, że rozdarł go na pół.

- Grubas to największy przestępca w Anglii - zakrakał.

- To znaczy... najgrubszy?

- Nie. Największy. Macza palce we wszystkim. W kradzieżach, napadach z bronią w ręku, oszustwach, podpaleniach... We wszystkim!

- Skąd wiesz? - zdziwiłem się.

- Słyszałem o nim, kiedy pracowałem w policji - wyjaśnił Herbert. - Każdy przestępca ma kartotekę w Scotland Yardzie. Grubas ma całą bibliotekę. Jest sprytny. Nikomu nie udało się go aresztować. Ani razu. Policjantka dała mu kiedyś mandat za nieprawidłowe parkowanie. Tydzień później znaleziono ją zalaną betonem pod autostradą M6. Nikt nie zadziera z Grubasem.

Herbert złożył dwie połówki listu, jakby wierzył, że połączy je za pomocą magii. Osobiście byłem raczej zaciekawiony niż przestraszony. Dobra, więc jest sobie jakiś wielki bandzior o przydomku Grubas, ale czego może chcieć od takiego nieudacznika jak Herbert? Oczywiście musiało to mieć jakiś związek z tajemniczym pakunkiem Karła. Czyżby to Grubas był odpowiedzialny za zrujnowanie naszego mieszkania? Wydawało się to prawdopodobne, ale jakoś nie mogłem w to uwierzyć. Nic demoluje się czyjś dom i nie zaprasza potem właściciela, jak gdyby nigdy nic, na Trafalgar Square. Albo jedno, albo drugie. Ale z drugiej strony, jeżeli nie on zamienił nasz dom w wysypisko śmieci, to kto?

- Co teraz zrobimy? - spytałem.

- Zrobimy?

Herbert spojrział na mnie, jakbym stracił rozum.

- Idziemy! Kiedy Grubas zaprasza cię, żebyś skoczył pod pociąg, nie wyklócasz się. Po prostu skaczesz. I cieszysz się, że nie był w złym humorze!

Więc kiedy zbliżało się południe, wsiedliśmy do autobusu numer 14 i pojechaliśmy. Tym razem zostawiłem paczkę - bezpiecznie schowaną - w domu. Mieszkanie już raz przeszukano i uznałem, że nikt nie będzie próbował tego powtórzyć.

- Jak go rozpoznamy? - zapytałem.

- Widziałem zdjęcia - odparł Herbert.

- Fotogeniczny?

Nie odpowiedział. Był tak przerażony, że ledwo mógł chodzić. A potem jeszcze pożarł nasze bilety. Ludzie radzą sobie z lękiem w różny sposób.

Wsiedliśmy na Piccadilly Circus i poszliśmy w stronę Trafalgar Square. Był kolejny mroźny dzień, ale nie miałem pewności, czy Herbert trzęsie się z zimna, czy ze strachu. Stawiałem na to drugie. Sezon turystyczny skończył się dawno temu, ale tu i ówdzie wałęsały się grupki zwiedzających, robiących sobie zdjęcia na tle szarego grudniowego nieba. Sklepy

były udekorowane bombkami, lampkami i choinkami. Gdzieś niedaleko orkiestra Armii Zbawienia grała *Cichą noc*. Czulem, że bardziej na miejscu byłby *Marsz żałobny*.

Trafalgar Square to kawał placu, ale Grubas nie podał nam dokładniejszych informacji co do miejsca spotkania, więc stanęliśmy na środku, pod kolumną Nelsona. Obok nas kilku turystów karmiło gołębie. Było mi ich żal. Kto w Londynie chciałby być gołębiem... albo, skoro już o tym mowa, turystą? Miałem przy sobie batonik Pienie, więc wydłubałem z niego kilka orzeszków i rzuciłem gołębim, a sam pożarłem resztę. Była za dziesięć pierwsza, a przez to całe zamieszanie nie zjadłem śniadania. Naokoło nas terkotały taksówki, autobusy i ciężarówki jadące w stronę Parlamentu i pałacu Buckingham. Oparłem się o rzeźbę lwa i zacząłem wypatrywać kogoś ze stoma centymetrami w pasie. Na moim ramieniu wylądował gołąb. Dałem mu orzeszka.

Big Ben wybił pierwszą. Według mojego zegarka śpieszył się o pięć minut.

- O, tam jest - powiedział Herbert.

Nie od razu go zauważyłem. W każdym razie widziałem go, ale nie poznawałem. Przy krawężniku, nie zwracając uwagi na inne samochody, zaparkował różowy rolls-royce. Szofer wysiadł i poszedł otworzyć drzwiczki jednemu z najchudszych facetów, jakich widziałem w całym swoim trzynastoletnim życiu. Był tak chudy, że wyglądał jak żywy szkielet. Ubranie - drogi włoski garnitur i płaszcz z futrzanym kołnierzem - wisiało na nim jak na wieszaku. Nawet sygnety były za duże na jego cienkie palce. Kiedy szedł, ciągle je poprawiał, żeby się nie zsunęły.

Spojrzałem na niego, potem na Herberta i znowu na niego.

- To jest Grubas? - zapytałem.

Herbert pokiwał głową. - Wyszczupłał.

Grubas podszedł do nas i przystanął, kiwając się lekko, jakby za chwilę miał go zdmuchnąć wiatr. Z bliska wyglądał jeszcze dziwniej niż z daleka. Wklęsłe policzki, wklęsłe oczodoły, wklęsły brzuch. Facet wyglądał jak skóra naciągnięta na kości, które prawdopodobnie byłoby widać, gdyby za jego plecami świeciło słońce.

- Pan Diament? - zapytał.

- Tak - przyznał się Herbert. - Jestem Grubas.

Zaległa długa kłopotliwa cisza. Herbert za bardzo się bał, żeby cokolwiek z siebie wydusić, ale ja nie lubię ciszy. Cisza mnie denerwuje.

- Nie wygląda mi pan na grubasa - zauważyłem. Grubas zachichotał skrzekliwie.

- Jak się nazywasz? - zainteresował się.

- Nick Diament - odparłem, przejmując fałszywe nazwisko Herberta. - Jestem jego młodszym bratem.

- Czy w takim razie, mój drogi chłopcze, mógłbym zasugerować, abyś trzymał swoją młodszą buzię na kłódkę? Mam sprawę do twojego brata.

Co było robić, zamknąłem się. Nie przestraszyłem się go za bardzo, interesowało mnie raczej, o czym chciał rozmawiać z Herbertem. W międzyczasie doszedł do nas szofer ze składanym krzesłem i torebką ziaren kukurydzy. Miał nieprzeniknione czarne okulary. Rozłożył krzesło i podał swojemu pracodawcy kukurydzę.

- Dziękuję, Lawrence - powiedział Grubas. - Możesz poczekać w samochodzie.

Szofer skinął głową i oddalił się. Grubas usiadł, zagłębił rękę w torebce i rzucił garść ziaren na chodnik. Gołębie od razu zabrały się do dziobania, a on uśmiechnął się nieznacznie.

- Dobrze pan wygląda - wykrztusił Herbert.

- Dziękuję, Timothy, jeżeli mogę tak do ciebie mówić. - Grubas był wyraźnie zadowolony. - Lekarz powiedział mi, że powinienem schudnąć. - Wzruszył kościstymi ramionami. - Człowiek musi się ugiąć przed nakazem rozumu, chociaż niektórzy mogliby powiedzieć, że trochę przesadziłem. Przez ostatni rok jadłem wyłącznie jogurt i zrzuciłem trzydzieści pięć kilo. Ale zatrzymałem stare przezwisko. Ze względów zawodowych. - Znowu zanurzył rękę w torebce i rzucił gołębiom kukurydzę. - Skoro już o tym mowa - ciągnął - będę się streszczał. Wczoraj odwiedził cię mój stary znajomy. Drobnny człowieczek. Wydaje mi się, że powierzył ci coś, co chciałbym dostać. Jestem gotów zapłacić.

Herbert wciąż nic nie mówił, więc się wtrąciłem. - Ile?

Grubas znowu obdarzył mnie uśmiechem. Miał okropne zęby. Właściwie cały był okropny.

- Bystry z ciebie chłopiec - powiedział. - Jestem pewien, że pielęgniarki z intensywnej terapii będą cię po prostu ubóstwiać.

Wzruszyłem ramionami.

- Nie mamy tego - powiedziałem.

- Nie macie?

Brwi Grubasa podskoczyły do góry, jakby chciały udać grzywkę na łysej czaszce, której właściciel rzucał właśnie gołębiom następną garść kukurydzy.

- Wczoraj wieczorem ktoś przeszukał nasze mieszkanie - wyjaśniłem. - Być może, już pan o tym wie. Ten ktoś zabrał rzecz, na której panu zależy.

- Właśnie! - poparł mnie Herbert. - Dokładnie tak było.

Grubas spojrział na nas podejrzliwie. Chyba wiedział, że kłamiemy, ale nie mógł mieć pewności. Na jego łysinie wylądował gołąb. Grubas strzepnął ptaka i rzucił w niego kukurydzą. Wreszcie przemówił:

- Zabrał? - wymamrotał.

- Dokładnie - zapewnił Herbert. - Kiedy wróciliśmy z kina, już tego nie było. Gdyby nie to, chętnie byśmy to panu dali. Naprawdę.

Jęknąłem cicho. Wszystko potoczyłoby się po naszej myśli, gdyby Herbert trzymał swój niewyparzony język za zębami. Nie potrafiliby przekonać nawet sześciolatka i byłem pewien, że Grubas go przejrzał. Zerknąłem nerwowo na szofera, który siedział za kierownicą rollsa. Miał broń? Raczej tak. Ale czy mógłby jej użyć na Trafalgar Square?

- Bardzo dobrze - powiedział Grubas, a jego głos zrobił się nagle zimniejszy od podmuchów mroźnego wiatru. - W takim razie zagramy zgodnie z waszymi regułami, moi drodzy. Skoro chcecie zobaczyć, jak wygląda dno Tamizy w grudniową noc, to wasza sprawa.

Wstał, a jego twarz zrobiła się naprawdę brzydka. Właściwie była brzydka od początku, ale teraz zbrzydła jeszcze bardziej. O ile to możliwe.

- Chcę dostać ten klucz - warknął. - Może go znajdziecie. Gdyby wydarzyło się coś równie szczęśliwego, jestem pewien, że nie będziecie na tyle głupi, żeby mi go nie dostarczać.

Zanurzył dwa palce w kieszeni płaszcza i wyjął wizytówkę, którą wręczył Herbertowi.

- Mój numer - powiedział. - Jestem cierpliwym człowiekiem, Timothy. Mogę czekać całe czterdzieści osiem godzin. Ale jeżeli nie odezwiesz się w ciągu dwóch dni, możesz się obudzić i stwierdzić, że spotkało cię coś bardzo nieprzyjemnego. Ze na przykład nie masz nóg.

- Dlaczego tak bardzo chce pan dostać ten... klucz? - zapytałem.

Grubas nie odpowiedział. Chyba miał ze mną na pieńku. Ze sposobu, w jaki patrzył na moją głowę, wywnioskowałem, że ją też chętnie położyłby na pieńku i odrąbał. Ale odwrócił wzrok, machnął ręką i wysypał resztę kukurydzy z torebki. Gołębie okrążyły go ciasno, wydziobując ziarna pod jego stopami.

- Nienawidzę gołębi - powiedział głucho. - Latające szczury! Są prawdziwą plagą Londynu. Nie cierpię ich gulgotania i tego, jak zasrywają wszystko w tym mieście. Rząd powinien je zdelegalizować. Ale nie! Jeszcze je dokarmiają. Niedobrze mi się robi, kiedy pomyślę, jak pienia się na drzewach i chodnikach i roznoszą te wszystkie zarazki i choróbska...

- To dlaczego je pan karmi? - Nie powinienem pytać, ale chciałem wiedzieć.

Grubas zaskrzeczał radośnie, a potem rzucił mi torebkę po kukurydzy.

- Zatrute - wyjaśnił.

Chwiejnym krokiem ruszył do limuzyny. Pół metra od nas jeden z gołębi zagulgotał żałośnie i przewrócił się na bok. Chwilę później padły dwa następne. Kiedy różowy rolls-royce skręcał w stronę Hyde Parku, byliśmy już otoczeni samymi gołębimi trupami.

- Myślisz, że próbował dać nam coś do zrozumienia? - zapytałem.

Herbert nie odpowiedział. Wyglądał niewiele lepiej od gołębi.

Czas otwarcia

Zanim nadjechał autobus, który miał nas zabrać z powrotem do Fulham, wiedzieliśmy, że będziemy musieli otworzyć kopertę karła. Nie opiekowaliśmy się nią nawet przez dwadzieścia cztery godziny, a nasze mieszkanie zostało zdemolowane i zainteresował się nami największy bandzior w Anglii. W porządku, Johnny Neapol zapłacił nam dwieście funciaków i kazał obiecać, że nie otworzymy koperty, ale obietnice łatwo się łamie. Kości też. Wiedziałem, że to pierwsze będzie mniej bolało.

Kiedy wysiedliśmy z autobusu, przed naszymi drzwiami czekała jakaś kobieta. Po karzelku i Grubasie uznałem, że w tym tygodniu widziałem już dostateczną ilość dziwolągów, ale okazuje się, że dziwadła tak jak muszkietierowie - chodzą trójkami.

Była to staruszka z siwymi kręconymi włosami, które sterczały do góry, jakby walnął w nie piorun. Jej szminka, jaskrawy odcień czerwieni, też sprawiała dość piorunujące wrażenie. Wyobraźcie sobie jeszcze pomarszczoną, obwisłą skórę na twarzy i obwisły, stary płaszcz w kolorze gnijących wodorostów. Dodajcie kapelusz w kształcie imbryka i opasłą płócienną torbę. A na koniec wyobraźcie sobie, że chociaż znajdowaliśmy się na ruchliwej ulicy, miała na nogach niebieskie puchate kaptcie.

Naturalnie uznaliśmy, że uciekła z wariatkowa, więc zignorowaliśmy ją i weszliśmy do domu. Dopiero gdy znaleźliśmy się w biurze i zobaczyliśmy, że za nami weszła, zorientowaliśmy się, że ma jakąś sprawę do nas. Rozejrzała się po pokoju i zagwizdała, po czym zamknęła z mlaśnięciem pomarszczone usta.

- Fiu-fiu! - wykrzyknęła. - A niech mnie! Co za bałagan!

- Kim pani jest? - zażądał wyjaśnień Herbert.

- Sprzątaczką - odparła. - Z ogłoszenia.

W całym tym zamieszaniu zupełnie zapomnieliśmy o ogłoszeniu. I oto stała przed nami sprzątaczką, której szukaliśmy.

- Ach tak - wymamrotał Herbert. - A jak się pani nazywa?

- Sprzątaczką.

- Tak, wiem.

Zmarszczył brwi. Może nie zrozumiała? Może ktoś ją upuścił, kiedy była dzieckiem? Herbert znowu spróbował, tym razem sylabizując każde słowo.

- Jak się pa-ni na-zy-wa?

- Sprzątaczką! - wykrzyknęła. - Betty Sprzątaczką. Tak się nazywam, ale możecie mi mówić Betty.

Nie czekając na zaproszenie, weszła do pokoju i zaczęła ścierać kurze miotełką, którą wzięła nie wiadomo skąd. Herbert i ja patrzyliśmy, jak lekkim ruchem zaczęła odkurzać pozostałości półki. Półka gruchnęła na podłogę. Sprzątaczką zapiszczała.

- Oj oj! Co za katastrofa. Nie potrzebujecie sprzątaczkę, kochaniutki! Potrzebujecie stolarza!

- Chwileczkę... - zaczął Herbert.

- Nie ma się co martwić! - przerwała mu. Miotełka znikła i teraz trzymała w dłoni młotek. - To zajmie tylko minutkę. Wszystko będzie za chwilę wyglądało jak nowe.

Nie wątpiłem w to. Jej torba była tak duża i pękata, że mogła bez trudu pomieścić pudełko gwoździ, śrubokręt, młotek, piłę, a nawet składaną drabinę.

- Ja... my... cóż... - wydukał Herbert. Zwrócił na siebie uwagę sprzątaczkę, ale nie wiedział, jak to wykorzystać.

- Ile pani bierze? - zapytałem.

- Dwadzieścia dziennie - zatrajkotała radośnie, ale po chwili zobaczyła nasze miny. - No... dla was dychę. Podobacie mi się. I do tego jeszcze pan detektyw. Uwielbiam kryminały. Dziesięć funciaków dziennie i przynoszę ze sobą własną herbatkę. Co wy na to?

Wyczułem, że Herbert zamierzają odesłać, więc przejąłem inicjatywę. Wydaliśmy dwieście funtów, ale wciąż mieliśmy czek od mamy. Jeżeli Betty Sprzątaczką zdoła odbudować i do tego posprzątać nasze mieszkanie za dziesięć funtów dziennie, trudno nie skorzystać z takiej okazji.

- Może pani zacząć od poniedziałku - powiedziałem.

- Ale, Nick... - zaczął protestować mój brat.

- Naprawdę chcesz mieszkać w takiej norze? - zapytałem.

- Słusznie - wtrąciła Betty. - Co za wspaniały chłopiec. Kto to? Pana brat?

Herbert pokiwał głową.

- Prawdziwy z niego dżentelmen - zaszcebiotała. - W poniedziałek, tak? Wolałabym zacząć dzisiaj, jeżeli nie macie nic przeciwko. Co masz zrobić jutro, zrób dzisiaj, jak zawsze mawiam.

- Ale poniedziałek jest za dwa dni, a nie jutro - zauważyłem.

- Jesteśmy dość zajęci - powiedział Herbert. Widziałem, że nie może się doczekać, kiedy będzie mógł otworzyć kopertę.

- Mogłaby pani wrócić w poniedziałek?

- W porządziu - obiecała. - Punkt dziewiąta. - Wolałabym o dziesiątej.

- Dobrze, w takim razie dziesiąta. - Poglaskała mnie po głowie. - Co za przystojniak! Fiu-fiu! To do dziesiątej - dodała i wyszła.

Zaczekaliśmy, aż zatrzasną się za nią drzwi, i wyciągnęliśmy paczuszkę. W podłodze biura była luźna klepka - właściwie było tam więcej luźnych klepek niż dobrych - i schowałem pod nią kopertę, przykrywając ją warstwą kurzu. Herbert wziął kopertę i potrząsnął nią. Zagrzechotała. Już miał ją otworzyć, gdy nagle znieruchomiał.

- To może być bomba - wyszeptał.

- Bomba? - powtórzyłem. - Po co Neapol miałby nam zostawiać bombę?

- Eeee...

- I kto niby miałby demolować mieszkanie w poszukiwaniu bomby?

Herbert pokiwał głową.

- Słusznie - powiedział. - Masz rację, Nick. To nie może być bomba, prawda? - Roześmiał się. - Słusznie, kto niby miałby zostawiać mi... - Podał mi kopertę. - Masz, ty otwórz.

Wycofał się w najdalszy kąt pokoju, uśmiechając się niewyraźnie. Potrząsnąłem paczką. Grubas mówił coś o „kluczu”. Cokolwiek było w środku, nie był to klucz. Grzechotało jak szklane kulki - mnóstwo szklanych kulek w kartonowym pudełku. Czułem, że wieczko ugina się pod palcami. Herbert obserwował mnie jak jastrząb. Nie. Wyglądał raczej jak wystraszony zajac. Podrzuciłem i złapałem paczkę. Zamknął oczy i zatrząsł się jak galareta.

Bomba? Jaka tam bomba.

Ale paczka mogła mieć jakieś zabezpieczenia.

Wetknąłem ostrożnie palec do koperty, próbując wymacać jakiś drucik lub nitkę. Johnny Neapol nie użył zbyt wiele śliny do zaklejenia pakunku. Być może, zaschło mu w ustach tak samo jak mnie. Nie musiałem nawet rozrywać koperty. W środku błysnęło coś czerwonego. Pudełko. Przechyliłem kopertę.

Pudełko upadło na podłogę. Herbert padł na ziemię i zakrył rękami głowę. Ale nie było żadnego „bum”.

Po chwili obaj pochyliliśmy się nad pudełkiem, zastanawiając się, czy nie zwariowaliśmy. W każdym razie ktoś musiał chyba zwariować.

W kopercie karła była tylko jedna rzecz - pudełko czekoladek.

W poszukiwaniu karła

Nie wiem, czy lubicie słodczy. Osobiście mogę się bez nich obyć. Z takim kieszonkowym, jakie dostaję, muszę. Z takim kieszonkowym, jakie dostaję, nie stać mnie nawet na kieszonkę. W każdym razie maltanki to takie czekoladowe kuleczki, które chrupią, gdy się je gryzie. Wydaje mi się, że można je kupić w prawie każdym kraju na świecie, choć czasem nazywają się inaczej.

Jedno pytanie nie dawało mi spokoju: Dlaczego Johnny Neapol zapłacił dwieście funtów za opiekę nad pudełkiem słodczy? Dlaczego ktoś zadał sobie tyle trudu i zdemolował nasze mieszkanie, żeby je zdobyć? I jak wplątał się w to wszystko Grubas? Czekoladki były ostatnią rzeczą, której mógł potrzebować - był przecież na diecie. To wszystko nie trzymało się kupy.

Otworzyliśmy pudełko. Zawartość z całą pewnością wyglądała jak zwyczajne maltanki. Pachniała też zwyczajnie i tak samo smakowała. Herbert podejrzewał, że mogły to być brylanty w czekoladzie czy coś takiego. Dopiero, kiedy zjadłem sześć drażetek, zmienił zdanie i zasugerował, że mogły zawierać jakąś nową, tajną truciznę. Gdyby wzrok zabijał, mój brat już leżałby w grobie.

- Musimy znaleźć Neapola - stwierdził Herbert.

Jak na Herberta, była to całkiem błyskotliwa dedukcja. Grubas dał nam dwa dni. Neapol miał wrócić za jakiś tydzień. To oznaczało, że czeka nas co najmniej pięć dni, w czasie których mogło nam się przytrafić coś nieprzyjemnego. Problem polegał na tym, że Neapol nie powiedział, gdzie go szukać. Nie mieliśmy jego adresu ani numeru telefonu.

- Zastanawiam się, jak go znajdziemy? - powiedział Herbert, jakby czytał w moich myślach.

- Może w książce telefonicznej pod W - zasugerowałem. - Wjak „wysocy inaczej”?

- Tak!

Westchnąłem ciężko, kiedy chwycił książkę.

- Tylko żartowałem!

- Naprawdę? Tak, oczywiście!

Herbert odłożył książkę i wyjrzał przez okno.

W międzyczasie ja obmacywałem wnętrze koperty. Maltanki nic nam nie mówiły, ale wewnątrz koperty zobaczyłem małą białą naklejkę. Karzeł, próbując jak najszybciej zakleić pakunek, musiał ją przeoczyć.

- Spójrz na to - powiedziałem. Herbert wziął kopertę.

- Koperta - zauważył.

- Tak, ale spójrz na naklejkę. Herbert odwrócił kopertę do światła.

- Hammett's - przeczytał. - Osiemnaście pensów. - Zmarszczył brwi. - To tanio, jak na pudełko maltanek.

Potrząsałem z niedowierzaniem głową.

- To cena koperty, a nie czekoladek - wytłumaczyłem. - Patrz. Cena jest napisana ręcznie, ale nazwa została wydrukowana. Hammett's... to musi być nazwa sklepu, w którym kupił kopertę na czekoladki.

- Wyśmienicie! - wykrzyknął Herbert. - To świetnie, Nick. - Zamyślił się. - Ale jak to nam może pomóc?

- Jeżeli karzeł chciał kupić kopertę, pewnie poszedł do sklepu w pobliżu miejsca, gdzie mieszka - powiedziałem. - Więc musimy się tylko dowiedzieć, ile sklepów Hammett's jest w Londynie, odwiedzić każdy z nich i zapytać sprzedawcę, czy pamięta, jak Neapol kupował u niego kopertę.

Herbert westchnął.

- Ale przecież na pewno sprzedają setki kopert - zauważył. - I mają tysiące klientów.

- Tak, ale ilu z tych klientów to karły?

- Słusznie. Masz rację. Zamyślił się.

- A jak znajdziemy sklepy Hammett's?

- Sprawdzimy w książce telefonicznej.

Herbert znowu chwycił książkę. Nagle odwrócił się i spojrzał na mnie.

- Przecież to był mój pomysł - powiedział.

Nie zamierzałem się spierać. Kłócenie się z kimś takim jak Herbert przypomina walenie się młotkiem w łepetynę.

Okazało się, że Hammett's ma w Londynie sześć sklepów.

Znaleźliśmy je w rubryce „Sklepy z prasą, papiernicze i kioski”. Trzy z nich znajdowały się na południe od rzeki, jeden w Notting Hill Gate, jeden w Kensington i jeden w Hammersmith. Było już za późno, żeby odwiedzić wszystkie, więc zdecydowaliśmy, że

sprawdzimy najpierw te trzy na południu, a przy okazji odwiedzimy sklep z używanymi meblami, który mieści się przy Clapham Common. Zajęło nam to kilka godzin, ale przynajmniej wieczorem mieliśmy na czym usiąść.

Nazajutrz była sobota. Znowu wyszliśmy z domu, ale tym razem wybraliśmy się do Kensington i Hammersmith. W końcu został nam tylko sklep w Notting Hill Gate. Ostatni Hammett's znajdował się na ulicy Portobello, w środku sławnego targu z antykami i starzyzną. Świeciło słońce, a rynek roił się od młodych par, poszukujących wiktoriańskich mosiężnych rur do wieszania ręczników i edwardiańskich sosnowych skrzyń na pościel. Powietrze cuchnęło frytkami i przypalonymi kebabami. Przed sklepem Hammett's stał chłopak, sprzedający antyczne tablice rejestracyjne. Bez wątpienia musiały odpaść od prawdziwie antycznej ciężarówki.

Sam sklep był mały i ciemny. Tak samo zresztą wyglądały wszystkie sklepy Hammett's, które odwiedziliśmy. Pewnie znacie tego typu przybytki; z jednej strony słodycze i czekolada, a z drugiej gazety i czasopisma. Herbert od razu podszedł do „Playboya” i zaczął go przeglądać „w poszukiwaniu śladów”, jak to ujął. Tymczasem ja rozejrzałem się po dziale z papeterią. To był pierwszy sklep, w którym mieli koperty tego rozmiaru, co nasza. Sprawdziłem naklejkę z ceną. Charakter pisma też się zgadzał.

Za ladą stał mężczyzna. Miał około czterdziestu lat, a z kącika ust zwiślał mu zapalony papieros. Miał bladą, niezdrową cerę, jakiej można się nabawić, siedząc całymi dniami w mrocznym, dusznym i zakopconym sklepie z prasą. Podczas gdy Herbert zagłębiał się w swoje prywatne śledztwo, ja wziąłem kopertę i podszedłem do sprzedawcy.

- Przepraszam - zagailem - wiem, że to zabrzmi dziwnie, ale czy nie pamięta pan może karła, który kupił taką kopertę?

Mężczyzna spojrzał na Herberta.

- Ma pan zamiar to kupić? - warknął.

Herbert, czerwieniąc się, rzucił magazyn na półkę i podszedł do nas.

- A teraz, czego chcesz, synku? - zapytał sprzedawca.

- Mój brat jest prywatnym detektywem - wyjaśniłem. - Próbujemy odszukać opalonego karła... z tłustymi ciemnymi włosami. Myślimy, że kupił tu parę dni temu kopertę.

- Tak... pamiętam - powiedział, kiwając głową. - Taki niski facet.

- Jak większość karłów - mruknąłem.

- Przyszedł tutaj... w ostatni czwartek.

Johnny Neapol spotkał się z nami właśnie w czwartek. Już zacząłem się rozkręcać, ale Herbert musiał dorzucić swoje trzy grosze.

- Diament - powiedział. - Tim Diament.

- Nie mówił, jak się nazywa - odrzekł sprzedawca.

- Nie, to ja się tak nazywam.

Sprzedawca zmarszczył brwi i spojrzał na mnie podejrzliwie.

- Wszystko z nim w porządku? - zapytał.

- Jasne - powiedziałem, gromiąc Herberta wzrokiem. - To bardzo ważne, proszę pana.

Czy karzeł kupił coś jeszcze oprócz koperty? Na przykład pudełko maltanek.

Zauważyłem, że mój rozmówca zaczyna mieć wątpliwości co do mojego zdrowia psychicznego, ale jednocześnie widzi, że mówię poważnie. Zastanawiał się dobrą minutę.

- Nie kupował żadnych słodczy - powiedział w końcu. - Ale... tak, pamiętam. Miał ze sobą pudełko czekoladek, kiedy wchodził. A potem widziałem, jak pakował je do koperty. Co jeszcze kupił? Coś kupił... - Pstryknął palcami. - Wiem, nożyczki. - Teraz wszystko sobie przypomniał. - Spieszył się, wyglądał na zdenerwowanego. Ciągle wyglądał na ulicę. Jakby ktoś go śledził czy coś. Kupił kopertę, nożyczki i poszedł.

- Musimy go znaleźć - powiedziałem.

- Wpadł w jakieś tarapaty? - zapytał sprzedawca. - Jeżeli go nie znajdziemy, może mieć poważne kłopoty - odparłem.

- Ale jeżeli go znajdziemy, może ich nie mieć - dodał zupełnie niepotrzebnie Herbert.

Sprzedawca zawahał się. Nie ufał nam. Gdybym był na jego miejscu, też bym nam nie ufał. Właśnie wtedy otworzyły się drzwi i ktoś wszedł - kupić paczkę papierosów czy coś takiego.

- Słuchajcie, nie mam czasu, żeby z wami gawędzić - powiedział sprzedawca. - Jak chcecie porozmawiać karłem, znajdziecie go w hotelu Luksus, na końcu Portobello Road.

- Skąd pan wie? - zdziwiłem się.

- Znam właściciela. Mówił mi, że zatrzymał się u niego karzeł.

- A jak się nazywa ten właściciel? - zapytał Herbert.

- Jack Luksus.

*

Im dalej w dół Portobello Road, tym gorzej, wszystko jeszcze jakoś ujdzie, dopóki nie dotrze się do kina Electric. Za kinem domy zaczynają się walić i sypać. W końcu dochodzisz do estakady i nagle widzisz, że znalazłeś się w całkiem innym świecie. Nie ma już sklepów z antykami, zgiełku i straganów ze starzyzną. Teraz stoisz na zupełnym odludziu i brodzisz po kostki w śmieciach. To zadziwiające, jak szybko można się przenieść z jednej części Londynu do drugiej.

Hotel Luksus był jednym z tych miejsc, które trudno znaleźć, jeśli się nie wie, czego szukać. Być może z tego powodu świetnie nadawał się na kryjówkę. Stał na samym końcu ulicy Portobello między dwiema kolumnami wiaduktu, który okrążał budynek, jakby trzymał go w zimnym betonowym uścisku. W hotelu Luksus raczej nie można się było wyspać, bo jezdnia przechodziła parę metrów od okien. Najwyższe piętro znajdowało się na tym samym poziomie, co autostrada. Przewrócisz się na łóżku, a ryzykujesz zderzenie z ciężarówką. Oczywiście, jeśli najpierw nie doborą się do ciebie pluskwy i karaluchy.

Był to kwadratowy brzydki budynek w kolorze pleśniejącego żółtego sera. Za szybą okna na pierwszym piętrze lśnił czerwony neon z nazwą, tyle że szyba była tak brudna, że ledwo można było cokolwiek przeczytać. Przed wejściem stał rząd pojemników na śmieci, których zawartość wysypywała się na ulicę. Wiecie, jak niektóre przewodniki przydzielają hotelom noże i widelce. Hotel Luksus nie zasłużyłby nawet na złamaną wykałaczkę.

Przy pojemnikach na śmieci leżał senny pijak z butelką wina zawiniętą w szary papier. Obok niego pochrapywał wilczur. Chyba też był pijany. Ominęliśmy pana i jego psa i weszliśmy do hotelu. Drzwi ledwo trzymały się w zawiasach. Wnętrze śmierdziało potem i środkiem dezynfekującym.

Znaleźliśmy się w pomieszczeniu, które uchodziło za recepcję. Niektóre hotele reklamują teatry i restauracje. W tej norze reklamowano garkuchnie i konowalów, oferujących kurację odwszającą. Naprzeciwko drzwi była lada, za którą stał nieogolony facet z tanim czytałem w garści.

Czytało było jeszcze tańsze od tej książki i nie miało nawet stu stron, co wydawało się nawet zrozumiałe, bo facet nie wyglądał na kogoś, kto chciałby się zabierać za *Wojnę i pokój*. Miał na sobie brudną koszulę i dżinsy. Był gruby, a jego brzuch nie dość, że sterczał nad pasem, to jeszcze opadał do wysokości ud. W zębach trzymał cygaro, które musiało zgasnąć jakiś tydzień temu. Nie spojrzał na nas, tylko przewrócił stronę, chrząknął i dalej czytał.

- Pan Jack Luksus? - zapytał Herbert.

- A kto pyta? - powiedział, nie poruszając wargami, tylko cygaro chybotąło się między zębami.

- Tim Diament - odrzekł Herbert. - Jestem prywatnym detektywem.

- Taaak?! - ziewnął Luksus, po czym powrócił do lektury.

- Szukamy kogoś, kto się tutaj zatrzymał - wyjaśniłem. - Karła. Nazywa się Johnny Neapol. Jest winny naszemu klientowi niezłą forszę.

- Właśnie - dodał Herbert. - I jak go znajdziemy, odpalimy ci trochę.

Oczywiście zmyśliliśmy to wszystko, ale tylko w ten sposób mogliśmy przedrzeć się dalej. Właściciel hotelu pokazał kciukiem schody.

- Pokój numer 39 - powiedział.

Wdrapaliśmy się po skrzypiących, grożących zawaleniem schodach. Wykładzina była wytarta do cna, a ściany wilgotne i zagrzybione. W oddali słyszeliśmy telewizor i płacz dziecka. Też bym pewnie lyczał, gdybym musiał mieszkać w takiej norze. Pokój numer 39 znajdował się w głębi, na samym końcu korytarza. Zgadliśmy, że to 39, bo przed nim przeszliśmy obok pokoju 37 i 38. Ale numer zdążył już dawno odpaść. Drzwi były zamknięte.

- Myślisz, że to dobry pomysł? - szepnął mi do ucha Herbert.

- A masz lepszy? - spytałem.

- Moglibyśmy wrócić do domu...

- Daj spokój, Tim - powiedziałem. - Już go znaleźliśmy, nie zaszkodzi, jeżeli...

Nie dokończyłem. Wystrzał nie był głośny, ale sprawił, że podskoczyłem. Herbert znieruchomiał, a potem rzucił się do ucieczki. Na szczęście udało mi się go złapać za kurtkę. Nie chciałem wchodzić do pokoju sam. Wcale nie chciałem tam wchodzić. Ale gdybym teraz wziął nogi za pas, nigdy bym sobie tego nie darował.

Otworzyłem drzwi, ciągle trzymając Herberta za frak. Nie były zamknięte na zamek, bo w hotelu Luksus pokoje nie miały zamków. Niektóre nie miały nawet drzwi.

Zobaczyłem falującą zasłonę i cień postaci znikającej za oknem. Nie potrafiłem nawet powiedzieć czy to kobieta, czy mężczyzna. Mignęła mi tylko część nogi na parapecie.

Pokój był mały. W sam raz taki, aby zmieściło się łóżko, stolik, szafka z szufladami i martwe ciało. Zamknąłem za sobą drzwi. Johnny Neapol leżał na tapczanie. Jeszcze żył, ale wielka czerwona plama na klatce piersiowej wskazywała, że jego czas upływał tak szybko, jak krew z jego ciała. Podbiegłem do okna i wyjrzałem na zewnątrz, ale za późno. Ktokolwiek to był, zdążył wskoczyć na wiadukt i uciec. Może nawet czekał na niego samochód. Tak czy siak, morderca zniknął.

Karzeł zachrypiał. Odwróciłem się w jego stronę. Pokój zapewne od początku nie był uporządkowany, ale zgadłem, że ktoś tu walczył. Krzesło leżało do góry nogami na podłodze, a lampa została zrzucona ze stołu. Spojrzałem na pudełko zapalek. Nie wiem, dlaczego je podniosłem i schowałem do kieszeni. Wiedziałem, że nie mamy czasu i że każdy ślad - nawet najmniejszy - może się przydać. A może po prostu nie chciałem patrzeć na karła. W każdym razie zabrałem to pudełko.

Johnny Neapol otworzył usta i spróbował coś powiedzieć.

- Sokół... - wykrztusił, a potem wydał z siebie okropny gulgot.

- Słońce - zdążył jeszcze dodać i zamknął oczy. Usta pozostały otwarte.

Karzeł nie żył.

Herbert podniósł coś z podłogi.

- Nick... - zaczął.

To był pistolet. Pistolet, który jeszcze dymił.

A on stał i go trzymał. Wtem ktoś roztrzaskał drzwi i wparował do środka. Facet, który leżał pijany przed hotelem, stanął przed nami i też miał w ręku pistolet. Wilczur czaił się przy nim i warczał cicho. Za nimi było jeszcze dwóch ludzi.

- Policja! - wrzasnął. Herbert zemdłał. - Jesteście aresztowani.

Sokół

Johnny Neapol został odwieziony do kostnicy, a my na posterunek policji Ladbroke Grove. Nie jestem pewien, co było lepsze. Kiedy jego transportowano pod miłym czystym prześcieradłem, nas wypchnięto z hotelu, zakuto w kajdanki i zapakowano do radiowozu. Oczywiście okazało się, że pijak na ulicy był policjantem w przebraniu, a wilczur był policyjnym psem w przebraniu. Hotel Luksus znajdował się pod obserwacją policji i mieliśmy przechłapanie już w chwili, gdy wchodziliśmy do środka.

Zamknięto nas w pokoju do przesłuchań, żebyśmy skruszeli. Musiało tam być zimniej niż w kostnicy. Szczękając zębami, siedzieliśmy na metalowych krzeselkach przy metalowym stole. W pokoju było tylko jedno małe okratowane okienko. Na jednej ścianie wisiała tablica do pisania, a na drugiej plakat z napisem: „Zbrodnia niepopłaca”, pod którym ktoś dopisał: „praca w policji też nie”. Pomieszczenie cuchnęło stęchlizną i dymem papierosowym. Zastanawiałem się, ilu zwykłych przestępców, czekając w tym pokoju, zmieniło się w zatwardziały kryminalistów.

Herbert po odzyskaniu przytomności prawie się nie odzywał. Jednak po jakichś dwudziestu minutach nagle rozejrzał się po pokoju, jakby właśnie zdał sobie sprawę, gdzie jest.

- Nick... - powiedział.

- Tak?

- Myślisz... myślisz, że policja uważa, że mam coś wspólnego z tym, co się stało z karłem? - zapytał.

- Nie - odrzekłem łagodnie. - Poszedłeś się z nim zobaczyć. Wystrzelił pistolet, ciebie zatrzymano, kiedy trzymałeś go w ręku. A karzeł nie żyje. Nie, jestem pewien, że policja nie przypuszcza, że miałeś z tym cokolwiek wspólnego.

W tym momencie w zamku zachrzęścił klucz i otworzyły się drzwi. Herbert jęknął. Facet, który wszedł, też nie wyglądał na najszcześliwszego.

- Herbert Simple - powiedział.

- Inspektor Snape - wydusił przez ściśnięte gardło Herbert.

- Nadinspektor Snape - warknął policjant. - Na pewno nie dzięki tobie.

Nadinspektor był mocno zbudowanym blondynem o cerze w kolorze surowego bekonu i mówił z północnym akcentem. Miał na sobie przybrudzoną koszulę, która pewnie była biała, kiedy ją zakładał, i krawat zaciśnięty wokół tłustej, wylewającej się z nadgarstka szyi. Zza jego pleców wychynęła jego mniejsza, czarnowłosa wersja, która miała rozpiętą koszulę i złoty medalik błyszczący wśród bujnego owłosienia. Asystent - jeśli nim właśnie był - stanął obok nadinspektora, uderzając pięścią w dłoń drugiej ręki i wpatrując się w nas nieprzyjawnymi, błotnistobrazowymi oczami. Jeżeli to mają być gliny, to jak muszą wyglądać przestępcy, pomyślałem.

- Herbert Simple - powtórzył Snape, przysuwając sobie krzesło.

- Mogę go walnąć? - zapytał drugi policjant.

- Nie, Wrzontek.

Nadinspektor uśmiechnął się nieprzyjemnie.

- Herbert Simple - powiedział po raz trzeci, przeżuując słowa, jakby powłaziły mu między zęby. - Najgorszy policjant w historii tego posterunku. Przez dwa miesiące narobił tu więcej szkód niż Kuba Rozpruwacz na ulicach Londynu. Tego dnia, kiedy odszedłeś, płakałem jak dziecko. Ze szczęścia. Nigdy nie myślałem... Miałem nadzieję, modliłem się, żeby cię już nigdy nie zobaczyć.

Jego świńskie oczka łypnęły w moją stronę. - A ty kto, koleś?

- Brat - odparłem.

- To się nazywa pech, synuś, prawdziwy pech.

- A jego mogę walnąć? - zapytał Wrzontek.

- Spokojnie, Wrzontek. Nadinspektor zapalił papierosa.

- Pytanie, które sobie teraz zadaję, brzmi następująco: Dlaczego taki pechowy, beznadziejny, bezmyślny był policjant jak Herbert Simple miałby się zadawać z takim facetem jak Johnny Neapol?

- To nie ja go zastrzeliłem, słowo! - wykrzyknął Herbert.

- Wierzę ci. - Snape wydał nozdrza, wypuszczając nosem dwa kłęby dymu. - Gdybyś chciał zastrzelić karła, prawdopodobnie byś spudłował i postrzelił się w nogę. Przecież kiedy posłał cię na naukę strzelania, udało ci się zastrzelić instruktora. Ale to nie zmienia faktu, że tylko twoje odciski palców znajdują się na pistolecie. Więc najlepiej będzie, jeśli powiesz, co tam robiłeś.

- Neapol był moim klientem - zaskrzeczał Herbert.

- Twoim klientem?

- Mój brat jest prywatnym detektywem - wyjaśniłem.

- Prywatnym detektywem?

Nadinspektor Snape wybuchnął śmiechem i śmiał się, aż łzy zaczęły płynąć po jego różowych policzkach. Na koniec zdołał się uspokoić i otarł ręką oczy. Wrzontek podał mu chusteczkę, a ten wydmuchał głośno nos.

- Teraz rozumiem - powiedział. - Jesteś prywatnym detektywem, a twój klient nie żyje. To zaczyna nabierać sensu. Facet podpisał na siebie wyrok, kiedy tylko zdecydował się do ciebie przyjść. Ale czego od ciebie chciał?

- To poufne - powiedziałem.

Z twarzy Snape'a wyparował uśmiech, a Wrzontek chrząknął i zaczął się do mnie zbliżać. Nawet w londyńskim zoo nie widziałem tak rozwścieczonego koczkodana. Na szczęście Snape uniósł rękę i go powstrzymał.

- Daj spokój, Wrzontek - powiedział. - Ale szefie...

- Chłopak jest nieletni.

Wrzontek znowu chrząknął, przygrzmocił pięścią w ścianę, ale odsunął się ode mnie.

- Powinieneś na siebie uważać, synuś - powiedział Snape. - Wrzontek naoglądał się amerykańskich filmów i uwielbia *Brudnego Harry'ego*. Ostatni podejrzany, którego przesłuchiwał, wylądował na intensywnej terapii, a chodziło tylko o nieprawidłowe parkowanie.

- Ale to i tak poufne - powiedziałem.

- W porządku - westchnął ciężko Snape. - Skoro chcesz, żeby brata aresztowano za morderstwo...

- Nick...! - jęknął Herbert.

- Chwileczkę - powiedziałem. - Nie możemy zawieść zaufania klienta.

- Ale on nie żyje - zauważył rezolutnie Snape. - Wiem. Ale nadal jest naszym klientem. Uśmiechnąłem się do niego przyjaźnie.

- Niech pan posłucha, panie nadinspektorze - powiedziałem. - Wy powiecie, co wiecie, a my się odwzajemnimy tym samym. To chyba rozsądna propozycja.

Snape przyglądał mi się przez chwilę w zamyśleniu.

- Ile masz lat? - zapytał.

- Trzydzieści.

- Jesteś bystry, jak na swój wiek. Jak będziesz nadal tak mędrkował, być może, nie dożyjesz czternastki.

- Niech nam pan po prostu powie, co wiecie.

- A niby czemu? Skąd mam wiedzieć, że wy cokolwiek wiecie.

- Wiemy o kluczu - powiedziałem. - I o sokole. Przyznaję, że strzelałem w ciemno. Grubas wspomniał o kluczu, a Neapol na zapluskwionym łożu śmierci wykrztusił słowo „sokół”. Ani jedno, ani drugie nie miało dla mnie sensu, ale miałem nadzieję, że powiedzą coś Snape’owi. I na szczęście nie myliłem się. Kiedy wspomniałem o kluczu, uniósł jedną brew, a kiedy dorzuciłem sokoła, druga brew też podskoczyła do góry.

Wypalił papierosa, rzucił peta na podłogę i przydeptał go butem.

- Dobra - powiedział. - Ale lepiej, żebyś nie kłamał, bo inaczej pozwolę, żeby Wrzontek spędził z tobą trochę czasu sam na sam.

Wrzontek wgapił się we mnie, jakby próbował obmyślić, jak przerobić mi facjatę.

- Johnny Neapol przyleciał do Londynu z Ameryki Południowej jakiś miesiąc temu - zaczął Snape. - Namierzyliśmy go na lotnisku, ale potem straciliśmy go z oczu. Dopiero parę dni temu znaleźliśmy go w hotelu Luksus. Od tamtej pory przez cały czas go obserwowaliśmy. O ile wiemy, spotkał się tylko z tobą i twoim bratem. W ogóle nie wychodził, w każdym razie nie w czasie, kiedy go obserwowaliśmy.

- Dlaczego go śledziliście? - zapytał Herbert.

- Właśnie próbuję to wyjaśnić - warknął Snape, po czym zapalił drugiego papierosa. Nie wyglądał na faceta, który pali jednego papierosa za drugim, ale tak właśnie normalni ludzie reagowali na mojego brata.

- Johnny Neapol był nikim - ciągnął Snape. - Był znachorem w La Paz w Boliwii. Ledwo ciągnął, ale ostatni pacjent przyniósł mu szczęście. Wiecie już o Sokole, ale nie wiem, jak dużo? Naprawdę nazywał się Henry von Sokółka. Zdaje się, że raczej nie grał w tej samej lidze co wy. Prawdę mówiąc, von Sokółka grał w swojej własnej lidze. Widzicie, każdy kraj ma swojego największego przestępcę. W Anglii prawdopodobnie numerem jeden jest Grubas. Ameryka ma swoich ojców chrzestnych. We Włoszech są bracia Fettucine. Ale Sokół działał na całym świecie. Był pół Anglikiem, pół Niemcem, nie poczuwał się do żadnej ze swoich

ojczyzn i, o ile nam wiadomo, ostatnio mieszkał w Boliwii. Nie było na świecie poważnej organizacji przestępczej, która nie robiła z nim ciemnych interesów. Ukradłeś ciężarowe z futrami z norek w Moskwie? Sprzedawałeś towar Sokołowi. Chcesz kupić kilogram kokainy w Kanadzie? Po prostu pogadaj z Sokołem. On był numerem jeden, królem złodziei, cesarzem przemytników. Gdyby w jakimś kraju policja nie chciała go dorwać, potraktowałby to jak ujmę na honorze. Jak każdy wielki biznesmen, Sokół potrzebował funduszy, zabezpieczenia finansowego dla swoich transakcji handlowych. Ale nie mógł sobie po prostu otworzyć konta w lokalnym banku jak zwyczajny przedsiębiorca. Nie ufał szwajcarskim bankom. Nie ufał nawet własnej matce i pewnie dlatego kazał ją sprzątnąć jeszcze w 1965 roku. Jedyną walutą, jaką Sokół uznawał, były diamenty, nieoszlifowane diamenty. Frank może spaść, rubel pójść w górę, ale diamenty zawsze mają swoją wartość. W każdym wielkim mieście miał zapas diamentów: w Paryżu, Amsterdamie, Nowym Jorku... i w Londynie. Co więcej, w Londynie znajdowało się jego centrum operacyjne, więc musiało się tam znaleźć najwięcej diamentów. Nie mamy pewności, ale podejrzewamy, że może kilometr stąd Sokół zdołał ukryć diamenty o wartości trzech i pół miliona funtów.

Przerwał na chwilę, żeby zrobić na nas wrażenie, i udało mu się. Oblizalem wargi, a Herbert pokręcił głową i zagwizdał.

- Sokół był wielkim przestępcą - kontynuował Snape. - Ale jakiś, miesiąc temu jego szczęśliwa passa się skończyła. Mogli go aresztować. Mógł zginąć w strzelaninie. Ale ostatecznie po prostu potrącił go autobus. To był zwariowany koniec zwariowanego życia. Autobus przejechał go na przedmieściach La Paz, kiedy właśnie szedł na lotnisko, żeby polecieć do Anglii. Podejrzewamy, że miał przy sobie klucz do londyńskiego skarbcza z diamentami. Człowiekiem, który akurat znajdował się na miejscu wypadku i jechał z Sokołem karetką do szpitala, był Johnny Neapol. Więc Sokół leży na noszach i czuje, jak życie z niego ucieka, i tylko on jeden wie, gdzie ukrył swoją fortunę. Nie możemy być oczywiście pewni, ale ludzie, którzy umierają, często zaczynają się zwierzać z tajemnic, których inaczej nigdy by nie ujawnili. Podejrzewamy, że Sokół powiedział Johnny'emu Neapolowi, gdzie są te diamenty, bo już po paru dniach karzeł rzucił pracę i wykupił lot pierwszą klasą do Londynu. Nie miał powodu, żeby robić coś takiego, chyba że dodamy dwa do dwóch i otrzymamy...

- Trzy i pół miliona - dokończyłem za niego.

- Właśnie.

Snape wstał i podszedł do tablicy, po czym wyciągnął z kieszeni kawałek kredy.

- Więc Johnny Neapol leci do Anglii. Ale nie jest sam. Bo teraz, po śmierci Sokoła, jest wielu ludzi, którzy są zainteresowani przejęciem diamentów.

Odwrócił się i napisał na tablicy:

Grubas

- To pierwszy zainteresowany. Grubas często robił interesy z Sokołem. Jeżeli ktoś mógł wiedzieć o diamentach, to najprędzej on. I przydałyby mu się pieniądze. Dać mu trzy i pół miliona funtów, a sam stanie się międzynarodowym przestępcą i przejmie pozycję Sokoła. Pewnie wiedział, gdzie się zatrzymał karzeł jeszcze przed nami. Czy to on zabił Johnny'ego Neapola? Jeżeli tak, już zabrał się do szukania skarbcza... a to by była zła wiadomość dla nas wszystkich.

Snake nagryzmolił następne nazwisko.

Beatrice won Sokolka

- To nasz czarny koń - ciągnął dalej. - Żona Sokoła, a raczej wdowa po nim. Kiedyś największa aktorka w Holandii. Zakochał się w niej, kiedy ją zobaczył w *Otellu*. Grała tytułową rolę. Z tego, co wiemy, ich małżeństwo nie układało się najlepiej. Pół roku spędzała w Londynie, a drugą połowę w La Paz. Czy kiedykolwiek powiedział jej, gdzie schował diamenty? Jeżeli nie, to będzie się chciała tego dowiedzieć...

Zapisał dwa następne nazwiska.

William Gott i Eryk Himmell

- To dwaj najbliżsi współpracownicy Sokoła. Jeżeli zdołają położyć łapy na diamentach, będą mieli dość pieniędzy, żeby przejąć jego imperium. Chociaż obaj urodzili się w Niemczech, chodzili do szkoły w Eaton. W czasie ich nauki zaginął szkolny katecheta i nauczyciel od wufu, a wicedyrektora znaleziono powieszzonego na własnym krawacie. Przyjechali do Londynu dzień po Johnnym Neapolu. Są tu teraz i mogą być śmiertelnie niebezpieczni.

Profesor

- Kolejny tajemniczy człowiek. Jeżeli ktokolwiek wie, gdzie znajdują się diamenty, to najprawdopodobniej on. Był doradcą technicznym Sokoła, jajogłowym na usługach zbrodni. Był genialnym naukowcem, ale trochę pechowym. Wymyślił na przykład przestępstwa komputerowe pięć lat przed wynalezieniem samego komputera, Jeżeli diamenty znajdują się

w jakimś rodzaju sejf, to pewnie on go zbudował. Profesor zginął jednak jakiś rok temu. Być może, nie żyje. Od dwunastu miesięcy nikt o nim nic słyszał.

Snape odwrócił się do tablicy i zapisał ostatnie nazwisko.

Herbert Simp...

Tylko tyle zdążył napisać, bo kreda rozkruszyła mu się w rękę.

- I w końcu dochodzimy do ciebie - oznajmił. - Do beznadziejnego bezmózgowca Herberta Simple'a. Mówisz, że Johnny Neapol był twoim klientem. Chcę wiedzieć, dlaczego. Chcę wiedzieć, czego po tobie oczekiwał. Chcę wiedzieć, co mówił. Chcę wiedzieć, jak obaj się w to wszystko wpakowaliście. I chcę to wiedzieć natychmiast!

Wszystko zaczęło nabierać sensu. Nie żeby od razu wszystko stało się jasne, ale przynajmniej wiedzieliśmy już, o jaką stawkę toczy się gra. Johnny Neapol przyleciał do Londynu w poszukiwaniu trzech i pół miliona funtów i zostawił nam pod opieką pudełko maltanek. Kłopot polegał na tym, że gdybyśmy powiedzieli o czekoladkach Snape'owi, pudełko niechybnie trafiłoby w łapska policji. Po mojemu nasza sytuacja wyglądała następująco. Wielu ludzi interesowało się tym, co się wydarzyło w naszym biurze w tamten czwartek. Jednym z nich był Grubas. Być może, także Gott i Himmel, którzy zapewne zdemolowali nam dom. Prędzej czy później przyjdą po nas ze spluwami i gdyby miało dojść do najgorszego, musielibyśmy im oddać czekoladki. A to znaczy, że nie mogliśmy ich dać Snape'owi.

A poza tym - bądźmy szczerzy. Jeżeli naprawdę siedzieliśmy na kluczu do fortuny, to ja chciałem być tym, kto go przekreśli. Było mnóstwo rzeczy, na które mógłbym wydać trzy miliony funtów. Uznałem, że połowę zostawię Herbertowi.

- No, dalej - warknął Snape. - Teraz wasza kolej. Czego chciał od was Neapol?

Zapadła cisza. Wrzontek ruszył do przodu i zauważyłem, że tym razem Snape nie zamierzał go powstrzymywać.

- Neapol przyjechał w poszukiwaniu diamentów - powiedziałem. - Miał pan w tym punkcie rację. Ale śledzili go. Był nieźle spietrany. I dlatego przyszedł do nas. Myślał, że damy mu jakąś ochronę.

- Nick... - wymamrotał Herbert.

- Nic więcej nam nie powiedział...

Wokół mojej szyi zacisnęło się łapsko Wrzontka. Wziął mnie za kołnierz i podniósł pięć centymetrów nad podłogę. Teraz wiedziałem, jak się czuje kawał złomu unoszony przez wielkie stalowe kleszcze. Tylko czekałem, kiedy trzepnie mną o podłogę albo o ścianę.

- Kłamiesz - syknął.

- Słowo skauta! - przyrzekłem.

- Wiedzieliście o kluczu - przypomniał mi Snape.

- Tylko dlatego, że Neapol o nim wspomniał. Ale my go nie mamy. Możecie przeszukać nasze biuro, jeśli chcecie.

- Już to zrobiliśmy - oznajmił Wrzontek.

- W takim razie wiecie, że ktoś je zdemolował. Słuchajcie, gdybyśmy cokolwiek wiedzieli, to po co mielibyśmy iść do hotelu Luksus? Przeszukano nasze mieszkanie i przestraszyliśmy się. Poszliśmy się zobaczyć z Neapolem i zapytać, co jest grane, ale jak dotarliśmy na miejsce, już nie żył. Słowo daję!

Przez moment w pokoju panowała cisza. Słysząc tylko chrzączenie moich kości pod uściskiem łap Wrzontka. Musiał dostać jakiś sygnał od Snape'a, bo po chwili mnie puścił. Opadłem na krzesło. Nogi miałem jak z galarety i ledwo mogłem ruszyć głową.

- W porządku. Zagramy według twoich reguł, synuś - powiedział lodowatym głosem Snape. - Wypuścimy was. Nie wierzę wam, tak jak nie uwierzy wam Grubas ani żaden inny zbir, który na was czyha. Ciekawe, kto dorwie was pierwszy.

- A pan, jak przypuszczam, będzie stał obok i się przyglądał - burknąłem pod nosem, rozmasowując kark.

- Nic się nie martw - powiedział Snape. - Poślemy po koronera.

u Babuni

Zabawne, jak długo po wyjściu z posterunku policji człowiek czuje na sobie jego smród. Snape był na tyle miły, że kazał nas odwieźć radiowozem do domu, więc otoczeni niewidoczną, lecz dokuczliwą chmurką smrodu przejechaliśmy obok Albert Hall, a potem pomknęliśmy przez Earl's Court. Powiadają, że najlepsi detektywi mają dobrego nosa. Teraz wiedziałem, co to znaczy, i nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że silne ramię sprawiedliwości mogłoby od czasu do czasu spryskać sobie pachę dezodorantem.

W domu wykąпалиśmy się i założyliśmy świeże ubrania. Herbert zaproponował, żebyśmy poszli gdzieś na obiad. Nie zamierzałem się sprzeciwiać, zwłaszcza że od kiedy zobaczył martwego Karla, bardzo się wyciszył i czułem, że coś knuje. Miałem przecucie, że zamierza zrezygnować z pracy detektywa i przy okazji odesłać mnie do rodziców. W każdym razie wydobyłem spod podłogi maltanki i postanowiłem zabrać je ze sobą. Ciekawe, że dopóki nie wiedziałem, ile były warte, traktowałem je jak zwykłe pudełko słodczy i

specjalnie się nimi nie przejmowałem. Za to teraz, wiedząc, że noszę ze sobą trzy i pół miliona funtów, czułem, jak wypalają dziurę w mojej kieszeni.

Przespacerowaliśmy się Fulham Road, idąc w kierunku stacji Kensington. Herbert wciąż milczał. Do tego zrobił się nerwowy. Kiedy zatrzymał nas jakiś facet, żeby zapytać o godzinę, mój brat dał susa i przycupnął za zaparkowanym samochodem. Po minucie znalazłem go tam skulonego i udającego, że zawiązuje sznurowadła. Być może dałbym się na to nabrać, gdyby nie to, że jego mokasyny w ogóle nie miały sznurowadeł. Prawda jest taka, że Herbert się bał. Był przekonany, że ktoś nas śledzi. Taksówkarz po drugiej stronie ulicy, staruszek wyprowadzający psa, para całująca się na przystanku... Według Herberta, każda z tych osób mogła być na usługach Grubasa, Beatrice von Sokółka, policji i Bóg raczy wiedzieć kogo jeszcze.

Weszliśmy do baru szybkiej obsługi o nazwie U Babuni. Jakiś dowcipny spec od marketingu wpadł na genialny pomysł, by zatrudniać tam same babcie - drobne staruszki z siwymi włosami i w okularach. Niestety, w związku z tym restauracja zasługiwała raczej na nazwę „bar wolnej obsługi”. Kucharz musiał mieć ze sto dwa lata, a jedna z kelnerek chodziła za pomocą balkonika. Jedzenie było jednak w porządku, a nam nigdzie się nie spieszyło. Usiedliśmy przy stoliku koło okna. Herbert usadowił się na krześle naprzeciwko szyby. Za nic na świecie nie chciał siedzieć plecami do ulicy.

Zamówiliśmy dwa babcioburgery, frytki i koktajle czekoladowe i prawie wcale nie rozmawialiśmy, dopóki ich nie przyniesiono. Wziąłem butlę keczupu i ścisnąłem ją. Czerwona maź wystrzeliła i chlapnęła na biały stół. Wyglądała jak krew.

Herbert odłożył nóż i widelec.

- Nick... - zaczął.

- Tak, Herbercie? - zapytałem, oczekując na dalszy ciąg. Właściwie wiedziałem, czego się spodziewać. To było do przewidzenia.

- Ta sprawa wymyka nam się z rąk - oznajmił. - To znaczy... robi się niebezpiecznie. Boję się, że może stać się coś złego.

- To znaczy coś takiego, co stało się z Johnnym Neapolem? - przypomniałem mu.

- Właśnie.

Herbert wbił wzrok w plamę keczupu.

- Przecież go zabili.

- Racja, trudno sobie wyobrazić coś gorszego - zgodziłem się.

Pokiwał głową.

- Chodzi mi o to, że może czas się rozdzielić. Dobry z ciebie chłopak, Nick, ale masz dopiero trzynaście lat. To sprawa dla Tima Diamenta.

Nieprawdopodobne! Być może, wskutek szoku po tym, co się stało, a może to koktajl czekoladowy uderzył mu do głowy, w każdym razie Herbert próbował się mnie pozbyć. „To sprawa dla Tima Diamenta” - brzmi jak gadka z taniego filmu, ale Herbert mówił z pełnym przekonaniem. Widziałem, jak zaczął się wczuwać w rolę prywatnego detektywa, nawet gdy siedział przygarbiony przy stole i gapił się na plamę keczupu. Wetknąłby sobie nawet do gęby papierocha, gdyby po nich nie wymiotował.

- Uznałem, że wyślę cię do Slough, do ciotki Maureen - podjął, a mnie ciarki przeszły po plecach. Ciotka Maureen, siostra mojej mamy, mieszkała w zacisznym domu ze sztucznymi kwiatkami na stole i miała sztuczną nogę. Miała dopiero około pięćdziesiątki, ale potrzebowała całodobowej opieki. Zawsze, kiedy u niej gościłem, kończyło się na tym, że robiłem za pielęgniarkę.

- Albo mógłbyś pojechać do Australii - dodał Herbert.

Wziąłem głęboki wdech i wpakowałem do gęby pół tuzina frytek. Ilekroć Herbert wpadał w tego typu nastrój, musiałem się mieć na baczności. Gdybym choć zasugerował, że wielki Tim Diament potrzebuje pomocy trzynastoletniego braciszka, znalazłbym się w samolocie do Sydney szybciej, niż zdążyłbym wymówić „bumerang”.

- Fajnie, że o mnie pomyślałeś, Tim - rzekłem. - Nie chcę ci zawadzać, ale wydaje mi się, że z tobą czułbym się bezpieczniej.

- Bezpieczniej? - wykrztusił, przeżuując spory kęs babcioburera.

- Jasne. Grubas mógłby mnie dorwać w Slough. Mógłby mnie porwać albo złoić skórę protezą ciotki Maureen.

- To prawda.

- Ale z tobą czuję się bezpiecznie - brnąłem dalej. - Na przykład w hotelu Luksus. Nie wiem, co bym zrobił, gdyby nie ty.

Herbert uśmiechnął się szczerze.

- To jak zemdlałeś, to było naprawdę... heroiczne. Spojrzał na mnie groźnie.

- Chyba mnie nie nabierasz, co? - Ja? Ależ skąd!

Czułem, że czas zakończyć rozmowę, więc wyjąłem pudełko maltanek i postawiłem je na stole.

- Teraz powinniśmy się martwić przede wszystkim o to - powiedziałem. - Trzy i pół miliona funtów, Herbercie. A to nasza jedyna wskazówka.

- Nie kapuję - wyznał Herbert. Rzadko cokolwiek kapował.

- Posłuchaj... - Mówiłem powoli, bo Herbert powoli myślał. - Johnny Neapol przyleciał do Londynu z kluczem do fortuny. Właśnie klucza chciał od nas Grubas, pamiętasz? Ale miał ze sobą tylko pudełko czekoladek i może też nie wiedział, co to znaczy.

- Skąd to wszystko wiesz? - zapytał Herbert.

- Bo Snape powiedział, że karzeł był w Anglii cały miesiąc, nim go zabili. Może Sokół nie miał czasu powiedzieć mu wszystkiego, kiedy umierał. Neapol wiedział mgliście, o co chodzi, i przyjechał, żeby dowiedzieć się więcej.

- Mów dalej.

- Dobra. Więc Neapol zjawia się w Londynie. Dekuje się w hotelu Luksus i zaczyna szukać. Ale niestety interesuje się nim wielu ludzi. Teraz ci sami ludzie interesują się nami. Ale Johnny'emu Neapolowi mimo to udaje się odkryć, co znaczą maltanki. Zabiera je ze sobą - jak mapę do skarbu, powiedzmy - a żeby nikt nie widział, co ma, kupuje kopertę. Potem idzie z hotelu na Fulham. Wtedy orientuje się, że ktoś go śledzi. I co robi?

- Nie wiem - powiedział Herbert, wzdychając. - Co takiego robi?

- Przychodzi do nas. Idzie ulicą i przypadkowo widzi twoje nazwisko na drzwiach. Wpada na pomysł, że właśnie kogoś takiego potrzebuje. Przecież jesteś prywatnym detektywem. Wie, że go śledzą, więc daje ci na przechowanie paczkę - a właśnie ją wszyscy chcą dostać - i obiecuje, że wróci za tydzień, kiedy zrobi się spokojniej.

- Ale nie wrócił - powiedział Herbert.

- Tak, bo został zabity.

- Ach, tak! Słusznie.

- A teraz my mamy maltanki. I jeżeli uda nam się dowiedzieć, dokąd szedł i co zamierzał z nimi zrobić, będziemy bogaci.

- Świetnie! - wykrzyknął Herbert. Zgodnie z moimi przewidywaniami, zapomniał o Slough i ciotce Maureen. Szybko dokończył obiad, a następnie podniósł pudełko.

- Może w środku są diamenty - zasugerował. - Oblane czekoladą.

- Nie - odparłem. - Wątpię, czy można zmieścić w takim pudełeczku diamenty za trzy i pół miliona. Zresztą zjadłem już sześć czekoladek i żadna nie smakowała jak diament.

- Więc po co nam to pudełko...?

To było dobre pytanie. Możecie kupić takie pudełko w każdym sklepie ze słodyczami, ale żeby oszczędzić wam pieniędzy, opiszę je. To czerwone pudełko z nazwą napisaną białymi literami i otoczoną brązowymi kuleczkami. Taki sam obrazek widnieje na czterech ściankach. Z boku można przeczytać inspirującą wiadomość: „Lżejszy sposób, żeby cieszyć się czekoladkami”, a z drugiej strony podano wagę: 146 g.

Na spodzie są napisy w kilku językach: „Czekoladki z lekkim chrupiącym środkiem”, a potem zwykła paplanina o mleku w proszku, ekstrakcie kakaowym i utwardzonym tłuszczu roślinnym, które razem wzięte dają tak cudowny produkt. Jest również gwarancja: „Najlepiej spożyć przed końcem 28-12-96” i obrazek człowieczka, który wrzuca papierek do kosza.

W lewym rogu znajdował się niebiesko-biały kod kreskowy, rząd grubszych i cieńszych kreseczek na białym tle, który pojawia się dzisiaj na większości towarów. Pod spodem był też numer: 3521 201 000000. I tyle. Gwarantuję, że nie znajdziecie lepszego opisu pudełka maltanek w żadnej księgarni ani bibliotece.

Ale co z tego? Nadal nie miałem ani bladego, ani zielonego, ani nawet bladozielonego pojęcia, jaki to ma związek ze skarbem.

Przykuśtykała kelnerka i zamówiliśmy dwa ciastka babuni. Siedzieliśmy w ciszy, czekając na deser. Cały czas dręczyło mnie pytanie, jak można na pudełku słodczy ukryć informację o tym, gdzie jest fura diamentów. I skoro już o tym mowa, dlaczego w ogóle Sokół wybrał do tego celu właśnie te czekoladki? Odpowiedź leżała przed nami i nawet wtedy mógłbym ją odgadnąć, ale, prawdę mówiąc, zapomniałem o jednym ważnym szczególe. Po prostu wyleciało mi to z głowy. Nadal głowiłem się nad całą zagadką, kiedy Herbert nagle przemówił.

- I jak?

- Nijak - odparłem.

Zjedliśmy ciastka i poprosiliśmy o rachunek. - A co z kropeczkami pod literami? - zapytał ni z gruszki, ni z pietruszki Herbert. - Może kryją jakąś wiadomość.

- Ale tu nie ma żadnych kropeczek - zauważyłem.

- Może Sokół użył niewidzialnego atramentu.

- Ale ich nie widzę.

- Bo są niewidzialne - odrzekł triumfalnie Herbert.

- Słuchaj - powiedziałem - jeżeli Johnny Neapol nie wiedział, co oznaczają maltanki, musiał się tego dowiedzieć, racja?

- Słusznie - zgodził się Herbert.

- Więc jeżeli uda nam się odkryć, gdzie chodził i co robił po przyjeździe do Anglii, może też się tego dowiemy.

- Słusznie. - Herbert zmarszczył brwi. - Ale on przecież nie żyje. Więc gdzie mamy zacząć? - zapytał.

- Może tutaj - powiedziałem i podałem mu pudełko zapalek, które znalazłem w hotelu. Widniała na nim nazwa klubu o nazwie Casablanca. Na drugiej stronie była mapka pokazująca, jak się tam dostać.

- Skąd to masz? - zapytał Herbert.

- Zabrałem z pokoju Neapola - oznajmiłem. - Pomyślałem, że może się przydać.

- Tak - powiedział Herbert po namyśle. - Jeżeli uda nam się odkryć, co karzeł robił po przyjeździe do Anglii, może uda nam się dowiedzieć, co znaczą te maltanki.

Prawie się zakrztusiłem koktajlem.

- To genialne! - wykrzyknąłem.

- Jasne, chłopie - przyznał Herbert.

Nie przypomniałem mu, że chwilę wcześniej powiedziałem dokładnie to samo. On za to nie wspominał o ciotce Maureen. To może być sprawa dla Tima Diamenta, pomyślałem, a jeżeli dobrze to rozegram, znajdzie się też miejsce dla jego młodszego brata Nicka.

Klub Casablanca

O dziewiątej rano następnego dnia obudził nas fachowiec, który przyszedł naprawić telefon, a potem nie zdążyliśmy nawet porządnie zasnąć, gdy obudziła nas Betty Sprzątaczką, która przyniosła ze sobą wszystkie potrzebne narzędzia i wkrótce zajęła się naprawą biurka. Wydawało się nieprawdopodobne, że zgodziła się naprawić wszystkie zniszczenia za marne dziesięć funtów dziennie, ale uznałem, że po prostu obudziłem w niej instynkt macierzyński. Dziwne, nigdy nie udało mi się to z własną matką.

Kiedy Herbert mył się i golił, wyszedłem kupić jajka, mleko i chleb. Nie było czasu, aby zrealizować czek od rodziców, i nie mieliśmy pieniędzy. Musiałem więc wycisnąć od właściciela sklepu coś na kredyt. Właściciel, pan Patel, to porządny stary palant. Jest również właścicielem porządnego starego kija do palanta, którym usiłował mnie zdzielić, kiedy wybiegałem z zakupami, za które nic zapłaciłem. Ale przynajmniej udało mi się w ten sposób skombinować porządne śniadanie dla siebie i Herberta oraz herbatę dla pani Sprzątaczką.

Po śniadaniu Herbert zadzwonił do Casablanki. Okazało się, że klub będzie tego wieczoru otwarty, ale tylko dla członków. W tym czasie Betty Sprzątaczką właśnie skręcała krzesło w biurze i musiała usłyszeć, o czym mówiliśmy, bo kiedy weszła do kuchni, była poważnie zaniepokojona.

- Co to takiego ten klub Casablanca? - zapytała.

- To taki klub na Charington Cross - powiedziałem. - Wybieramy się tam dzisiaj wieczorem.

- Nie powinien pan tam iść, paniczu Nicholasie - wymamrotała. - W pana wieku...

Podaliśmy jej filiżankę herbaty. Wzięła ją i usiadła na krześle, strzelając oczami w poszukiwaniu biszkoptów.

- Na tym polega nasze śledztwo - wyjaśniłem jej. - Jeden z naszych klientów mógł tam bywać, więc teraz my musimy tam pójść.

Na pani Sprzątacze nie zrobiło to wrażenia.

- Te londyńskie kluby - powiedziała - są pełne mętów.

Potrząsnęła głową, a siwe loki zakołysały się, jakby harcowały w nich tabuny białych myszek.

- Idźcie, jeśli musicie. Ale jestem pewna, że nie będzie z tego nic dobrego...

Mimo dobroduszných ostrzeżeń Herbert i ja wybraliśmy się tamtego wieczoru do klubu Casablanca. Na miejscu znaleźliśmy się parę minut po dwunastej. Na Charing Cross, zaraz za stacją metra, jest taki zakątek, który w całości pochodzi z dziewiętnastego wieku. Kiedy idziesz ulicą opadającą w stronę Tamizy, zostawiasz za sobą samochody i światła i nagle ogarnia cię czarna ponura noc. Jeżeli wyteżysz słuch, usłyszysz plusk płynącej nieopodal rzeki, a kiedy otworzysz szeroko oczy, zobaczysz postacie sunące w mroku niczym zombie. To jedna z najgorszych dzielnic Londynu. Wałęsają się tu podstarzałe prostytutki i pijacy owinięci w brudne płaszcze i stare gazety.

Klub Casablanca znajdował się właśnie tam, a wejście ukryte było pięć metrów poniżej poziomu ulicy i oświetlone słabą zieloną żarówką. Żadnego szyldu z nazwą. Nic, oprócz dochodzących z wewnątrz przytłumionych dźwięków fortepianu nie wskazywało, że stoi się przed wejściem do nocnego klubu.

Zeszliśmy po sypiących się betonowych schodkach i stanęliśmy przed drewnianymi drzwiami. Ktoś musiał nas obserwować przez judasza, bo otworzono nam, nim zdążyliśmy zapukać.

- Tak? - usłyszeliśmy czyjś głos. Przyjazne miejsce, pomyślałem.

- Możemy wejść? - zapytał Herbert. - Jesteście członkami?

- Nie.

- To spadać mi stąd! - ryknął głos, po czym drzwi się zatrzasnęły.

W ostatniej chwili Herbert zdążył wsunąć do środka stopę. Usłyszałem paskudne chrupnięcie. Może to był sam but, a może noga, ale drzwi znowu się otworzyły i udało mi się przecisnąć do środka. W korytarzu powitał mnie łysy facet w ciemnej marynarce, który

patrzył na mnie wrogo. Gdyby kiedykolwiek przyszło mu do głowy spojrzeć na kogoś miło i przyjaźnie, musiałby najpierw przejść poważną operację plastyczną.

- Jesteśmy przyjaciółmi Johnny'ego Neapola - powiedziałem.

Szpetny łyson wżruszył ramionami.

- Dlaczego od razu tak nie mówiliście?

- Bo pan nie pytał - odparłem.

Znowu otworzył drzwi. Herbert wśl się na betonowej posadzce, trzymając się za stopę.

- Członkostwo kosztuje dziesięć funtów - poinformował go łysy, po czym łypnął na mnie spode łba.

- Jesteś nieletni - burknął.

- Sam nie wygląda pan najlepiej - odrzekłem.

- Ile masz lat?

- Dwadzieścia pięć.

- Dwadzieścia pięć? - zapytał, rechocząc. - Masz prawo jazdy?

- Nie. Mam szofera.

Wszedłem dalej, zostawiając Herbertowi problem pieniędzy. W mroku, jaki panował w sali, mój wiek nie miał żadnego znaczenia. W każdym razie byłem wyższy od Neapola, a jego przecież wpuścili.

Zabawne, że pierwszy kelner, jakiego napotkałem, pomylił mnie z karłem.

- Pan Neapol! - krzyknął mi do ucha i poprowadził do stolika.

W powietrzu było tyle dymu, że do oczu napłynęło mi więcej wody niż dolewano jej do tutejszej whisky.

Rozluźniłem krawat i usiadłem. Stwierdziłem, że w powietrzu jest więcej dymu niż powietrza w dymie. Zjawił się następny kelner.

- Dobry wieczór, panie Neapol - usłyszałem. Postawił przede mną srebrne wiaderko i dwa kieliszki.

Pochyliłem się do przodu. W wiaderku stała obłożona kostkami lodu otwarta butelka szampana.

- Na koszt firmy - oznajmił kelner.

Podrapałem się po łepetynie. Karzeł musiał być tu stałym gościem. Regularnie przychodził, regularnie pił... Zastanawiałem się, co jeszcze robił regularnie w klubie Casablanca.

Rozejrzałem się. Na sali musiało być ze stu ludzi, którzy siedzieli przy stolikach albo tłoczyli się przy barze, za którym uwijało się trzech ubranych na czarno kelnerów. W

powietrzu rozbrzmiewały dziesiątki rozmów, które mieszały się ze sobą w jednostajny hałas jak dym z palonych przez rozmówców papierosów. Był tam również parkiet do tańczenia, ale tej nocy nie występował żaden zespół. Tylko samotny ciemnoskóry pianista przebierał po klawiszach palcami, które wydawały się zbyt grube i krótkie, by nadawały się do gry na fortepianie. Dokładnie przed moim stolikiem znajdowała się scena. Sala nie miała okien ani wentylacji. Dym dusił światło, zabijał rośliny, a mnie przyprawiał o zawroty głowy.

Wypiłem trochę szampana. Nigdy wcześniej go nie próbowałem i nie mogę powiedzieć, żeby mi specjalnie smakował. Ale zaschło mi w gardle, a trunek był za darmo. Wkrótce dołączył do mnie Herbert, mrucząc pod nosem coś na temat straconych dziesięciu funtów. Chwilę później rozbłysnął reflektor, a goście się uciszeli. Na scenę weszła kobieta pod pięćdziesiątkę, ubrana, jakby nie dobiła nawet trzydziestki, i obsypana błyszczącą biżuterią, która miała odwrócić uwagę od zmarszczek. Wyglądała całkiem atrakcyjnie, jeśli nie patrzyło się na nią zbyt uważnie. Kiedyś mogła być nawet piękna. Czas nie okazał się jednak dla niej specjalnie łaskawy. Odebrał kolor jej włosom, dodał chrypkę głosowi, pomarszczył szyję i wymierzył kilka porządných kuksańców.

Napiłem się jeszcze szampana. Bąbelki buzowały mi w nosie i szły prosto do głowy. Pianista skończył grać, ale kiedy kobieta wyszła na środek sceny, zaczął grać następną, a ona zaczęła śpiewać. Zaśpiewała jakby od niechcienia dwie albo trzy piosenki, za co otrzymała dość mizerne oklaski. Potem ludzie wrócili do przerwanych rozmów, a kobieta podeszła do naszego stolika i usiadła naprzeciwko mnie. Dopiero kiedy przysunęła się na tyle blisko, że mogła widzieć różowe od dymu białka moich oczu, zorientowała się, z kim ma do czynienia. A raczej, z kim do czynienia nie ma.

- Nie jesteś Johnnym - powiedziała.

- Jesteśmy jego znajomymi, pani... - oznajmiłem, czekając, aż się przedstawi.

- Jestem Lauren Bacardi - odparła. - Gdzie jest Johnny?

Spojrzałem na Herberta. Ze sposobu, w jaki o nim mówiła, wywnioskowałem, że zależało jej na karzełku, i nie byłem pewien, jak zniesie wiadomość o jego śmierci. Miałem nadzieję, że Herbert będzie jej to umiał powiedzieć. Wiecie, tak delikatnie, z odrobiną taktu.

- Kopnął w kalendarz - wypalił mój braciszek.

- Jak to?

- Nie żyje - wyjaśnił. - Jest martwy, wykorkował.

Zapaliła papierosa. Zdaje się, że nic wiedziała, co zrobić z rękami. Przecież w niepowtarzalnej atmosferze klubu Casablanca nie trzeba było zapalać kolejnego papierosa, aby rozkoszować się tak zwanym „dymkiem”.

- Czy... czy ktoś go zabił? - zapytała.

- Tak - powiedziałem.

Przełknąłem kolejny łyk szampana. Im więcej piłem, tym bardziej mi smakował.

- Znała go pani? Uśmiechnęła się smutno.

- Byliśmy przyjaciółmi.

Jej oczy nagle wydały mi się bardziej odległe od nosa. Może przez tego szampana. Myślałem, że zaraz wstanie i odejdzie z naszego życia. Jeśli wziąć pod uwagę, co miało się stać potem, byłoby lepiej, gdyby tak właśnie zrobiła. Ale pianista zaczął grać posępną, rzewną melodię, a ona musiała się przed kimś wygadać.

- Zналиśmy się z Johnnym od dziesięciu lat - powiedziała. - Ale nigdy się nie spotkaliśmy. Dopiero przed miesiącem. Korespondowaliśmy ze sobą. On pisał do mnie z Ameryki Południowej, a ja do niego stąd. Może będziecie się ze mnie śmiać, ale zakochaliśmy się w sobie drogą pocztową.

Strzepnęła popiół na dywan.

- Pisaliśmy do siebie przez dziesięć lat, ale on nigdy nie wspomniał, że jest karłem. Dowiedziałam się dopiero, kiedy przyjechał, a do tego czasu prawie zgodziłam się za niego wyjść. Mały łajdak...

Zaciągnęła się papierosem, a ja wlałem w siebie więcej szampana. Herbert przyglądał się nam z rosnącą obawą.

- Zjawił się u mnie miesiąc temu - ciągnęła. - Po prostu stanął na wycieraczce pod moimi drzwiami. Nie. Właściwie stanął na krześle, które stało na wycieraczce, bo inaczej nie mógł dosięgnąć dzwonka. Miał wielkie plany. Mieliśmy być bogaci. Mieliśmy kupić domek na południu Francji z niskimi sufitami. Johnny nic lubił wysokich sufitów. Powiedział, że wie, gdzie znaleźć trzy i pół miliona funtów. Ze zabierze mnie z tej dziury...

Kolistym ruchem pokazała klub.

- Czy miał coś przy sobie? - zapytałem. - Na przykład jakieś pudełko?

- Masz na myśli maltanki? - Lauren Bacardi uśmiechnęła się. - Jasne. Nigdzie się bez nich nie ruszał. Uważał, że są bardzo ważne, ale nie wiedział dokładnie dlaczego. Omal przez to nie zwariował... o ile nie był wariatem już wcześniej. No, wiesz. Niby jakim sposobem pudełko słodyczy miałoby kosztować taką forszę?

Nalałem sobie kolejny kieliszek szampana. Herbert sprzątnął mi go sprzed nosa, nim zdążyłem się napić. Chciałem się z nim kłócić, ale nagle okazało się, że widzę dwóch Herbertów, i zrobiło mi się niedobrze; już z jednym miałem furę problemów, dwóch mogło oznaczać katastrofę na skalę światową!

- Ale może Johnny miał rację - kontynuowała Lauren. - Bo niby czemu ktoś miał go zabijać? Johnny nigdy nikogo nie skrzywdził. Był na to za mały. I cały czas się bał. Nie chciał mieszkać u mnie, tylko zadekował się w tym zawszonym hotelu. I zawsze, kiedy razem wychodziliśmy, zachowywał się tak, jakby nas śledzono. Myślałam, że ma przywidzenia.

Pojedyncza łza spłynęła jej po policzku, przybierając po drodze - od tuszu i pudru - barwę błocka.

- Takie już mam zezowate szczęście - westchnęła. - Zabili go dzień po tym, jak rozwiązał zagadkę.

- Znalazł diamenty? - ożywił się Herbert. Potrząsnęła głową.

- Nie. Ale wiedział, jak się do nich dostać. Pewnego dnia wyszliśmy razem na miasto i zobaczył coś, dzięki czemu wszystko nabrało sensu.

- Co to było? - zapytaliśmy mniej więcej w tym samym momencie.

- Panno Bacardi - przeszkodził nam kelner. - Przy drzwiach stoi ktoś z kwiatami dla pani.

- Dla mnie? - Wstała i zakołysała się lekko. - Zaczekajcie minutkę.

Podążyła za kelnerem w kierunku głównego wejścia. Złapałem za butelkę, ale Herbert mnie powstrzymał.

- Masz pojęcie, ile to kosztuje? - syknął.

- Dla nas jest za darmo - odrzekłem z triumfem.

- Eee... ale masz dopiero trzynaście lat. Co mama by powiedziała?

- Mama... - wymamrotałem i przez ułamek sekundy rzeczywiście za nią zatęskniłem.

Wtedy zorientowałem się, że jestem pijany.

Przez chwilę żaden z nas się nie odzywał. W ciszy usłyszałem głos, szepczący mi coś do ucha. To był głos zdrowego rozsądku. Próbował mi powiedzieć o czymś, co od razu bym zauważył, gdybym nie nachlał się szampana. Coś było nie tak. Wyświetliłem w pamięci wszystko, co się ostatnio wydarzyło, i nagle mnie olśniło. Kwiaty. Dlaczego kelner poprosił Lauren Bacardi, żeby poszła do samego wejścia, zamiast przynieść jej bukiet do stolika? I coś jeszcze. Być może, to był tylko zbieg okoliczności. Może to nic nie znaczyło. Przypomniałem sobie, że kelner mówił z niemieckim akcentem. Zerwałem się i pobiegłem do drzwi. Herbert z krzykiem pobiegł za mną, ale nie zamierzałem się zatrzymywać i wyjaśniać, co się dzieje. Przedarłem się przez tłum, nie zwracając uwagi na protesty i brzęk rozbijanego szkła. Przynajmniej raz cieszyłem się, że nie jestem dorosły. Nim komukolwiek udało się mnie złapać, już mnie nie było.

Dobiegłem do drzwi i wypadłem na dwór. Zimna noc zdzieliła mnie mroźnym łapskiem w twarz i chwyciła za włosy. Ujrzałem pozostałości bukietu: rozdarty celofan, porozrzucane i połamane kwiaty. Usłyszałem krzyk. To była Lauren Bacardi. Długimi susami przesadziłem schodki i gdy znalazłem się na ulicy, zobaczyłem, jak wpychają ją do ciemnoniebieskiej półciężarówki. Ciemna postać zatrzasnęła drzwiczki i pobiegła do szoferki. Silnik już pracował. Puściłem się pędem.

Podbiegłem do samochodu, chcąc... sam nie wiem co. Myślałem chyba, że uda mi się otworzyć tylne drzwiczki i wyciągnąć Lauren, ale oczywiście były zamknięte. Złapałem więc za klamkę i wczepiłem się w karoserię. Samochód ruszył. Udało mi się oprzeć stopę i kolano na zderzaku. Zjedną ręką na klamce, a drugą na bocznej ryniencie wyglądałem jak nietoperz z przetrąconym skrzydłem. Musieliśmy jechać z sześćdziesiąt kilometrów na godzinę. Na zakręcie kierowca dodał gazu. Być może, usłyszał, że ma pasażera na gapę. Samochód musiał przekroczyć osiemdziesiątkę, kiedy zarzuciło mną i nagle znalazłem się w powietrzu. Przekoziółkowałem w powietrzu kilka razy. Nie liczyłem, ile. W końcu nie byłem w cyrku, a poza tym, szczerze mówiąc, zamknąłem oczy.

W każdym razie półciężarówka z piskiem opon pojechała w lewo, a ja poszybowałem w prawo. Powinno mnie to zabić. Mogło mnie to zabić. Ale jak pochodzilibyście nocą po tej dzielnicy Londynu, zobaczylibyście, że biura wystawiają na chodnikach mnóstwo śmieci. Ja akurat wpadłem w stos tekturowych pudeł i plastikowych toreb wypełnionych pociętymi na drobne paseczki dokumentami. To tak, jakbym uderzył w stos poduszek. Byłem poobijany, ale kości miałem całe.

Po minucie dogonił mnie Herbert. Musiał być przekonany, że umarłem, bo kiedy wstałem i otrzepałem się, omal nie zemdłał.

- Zapamiętałeś numery? - zapytałem. Rozdziawił gębę i wytrzeszczył gały, ale nie potrafił wydusić nawet sylaby. Mógłby zarabiać na życie, udając złotą rybkę. Nie byłem jednak w nastroju do żartów.

- Tablica rejestracyjna... - przypomniałem mu.

- Stałeś nad nią... - wymamrotał. Wciąż nie mógł uwierzyć w to, co przed chwilą widział.

Obejrzałem się za siebie. Ulica była pusta. Lauren Bacardi miała nam właśnie powiedzieć coś ważnego, a teraz jej nie było. Nasza jedyna szansa, żeby dowiedzieć się, co znacząły maltanki, mogła zniknąć razem z nią.

- Weźmy taksówkę i wracajmy do domu - zaproponowałem.

Ładny dzień na pogrzeb

Następnego dnia nie czułem się najlepiej. Obudziłem się, żalując, że nadal nie śpię. Zamknąłem oczy i nakryłem głowę poduszką. Odkryłem, że mam coś nieprzyjemnego w ustach. Próbowałem to wypluć. Bez skutku. To był mój język. Padało. Słyszałem krople dudniące o szyby i wodę kapiącą z sufitu w łazience. Spojrzałem w okno. Kolejny szary londyński ranek. Dzień zapowiadał się paskudnie.

Minęło dwadzieścia minut, nim udało mi się zwlec z łóżka. Wczorajsze lądowanie w kupie śmieci okazało się twardsze, niż się na początku wydawało. Mój prawy bark przybrał intrygującą granatowo-czarną barwę i bolał, kiedy poruszałem palcami. Właściwie bolał też, kiedy w ogóle się ruszałem. Jakoś jednak udało mi się usiąść na łóżku, a potem powoli wstać. Zanim zlazłem na dół do kuchni, minęła godzina. Wciąż padało.

Herbert siedział już przy stole i czytał gazetę. Kiedy mnie zobaczył, nastawił czajnik i uśmiechnął się radośnie.

- Ładny dzień na pogrzeb - powiedział.
- Bardzo zabawne - mruknąłem, sięgając po apteczkę.
- Mówię poważnie. Herbert przysunął mi gazetę.

Otworzyłem apteczkę - czerwone plastikowe pudełko z białym krzyżykiem. Znalazłem tylko dwa plastry i torebkę cukierków od kaszlu. Widocznie Herbert nic spodziewał się wybuchu żadnej plagi. Jęknąłem, przysunąłem sobie pod nos gazetę i poczekałem, aż literki przestaną się rozmazywać.

Herbert miał rację. Był to dzień pogrzebu. Dziwnym zbiegiem okoliczności ceremonia miała mieć miejsce niedaleko od naszego domu. A może to nie był zbieg okoliczności? Kłopot w tym, że nie potrafiłem zebrać myśli. Facetem, którego mieli pochować, był Henry von Sokółka. Wyglądało na to, że Sokół w końcu przyleciał do domu.

W gazecie nie napisano niczego na temat jego trzech i pół miliona funtów. Autor notatki nie wspomniał nawet słowem o działalności przestępczej zmarłego. Właściwie był to jeden z tych artykułków, które wpychają na ostatnią stronę między krzyżówkę a prognozę pogody, kiedy nie ma dostatecznej liczby naprawdę ważnych wiadomości. Notatka opowiadała historię bogatego biznesmena mieszkającego w Boliwii, który kiedyś mieszkał w Anglii i zdecydował, że tutaj chce zostać pochowany. Kłopot polegał na tym, że w dzień jego śmierci w La Paz odbywał się strajk bagażowych. Martwy Sokół okazał się właśnie „bagażem”, w związku z czym przeleżał cztery tygodnie w lotniskowej chłodni razem z transportem argentyńskiej wołowiny.

Ale teraz strajk się skończył, a von Sokółka mógł zostać pogrzebany w rodzinnym grobowcu na cmentarzu, który znajdował się przy Fulham Road. Trudno przegapić taką okazję, nawet jeśli się ma gigantycznego kaca. Ile osób wypisanych przez Snape'a na tablicy przybędzie, by odprowadzić Sokoła do grobu?

Musieliśmy tam pójść.

Herbert złapał książkę telefoniczną.

- 352-12-01 - oznajmił.

- Co to za numer? - spytałem.

- Cmentarza Brompton.

Zapisałem numer na gazecie, a on zadzwonił. Rozmowa trwała krótko.

- Pogrzeb o dwunastej - powiedział. - Polecane stroje: czarny krawat i kalosze.

Cmentarz Brompton znajduje się między Fulham Road a Brompton Road - o rzut beretem od boiska. Czasami chodziłem tam w niedzielę na spacer, co wcale nie jest takie upiorne, jak się wydaje. W końcu w okolicy nie ma zbyt wiele trawy, a kiedy świeci słońce, na cmentarzu jest całkiem miło. Chociaż najfajniejsze jest i tak wychodzenie z cmentarza. W końcu nie wszyscy mogą sobie na to pozwolić.

Od strony Fulham wchodzi się na cmentarz przez wielką, czarną, żeliwną bramę, a potem idzie wąską dróżką. Nawet nie zdajesz sobie sprawy, że jesteś na cmentarzu, zanim nie podejdziesz pod górkę i nie zobaczysz pierwszych nagrobków. Na początku jest bardzo ładnie. Mijas najstarszą część cmentarza, trawa sięga ci do pasa, a poprzecyłane, pokryte mchem kamienie nagrobne wyglądają, jakby same tutaj wyrosły. Potem skręcasz i widzisz budowle, które układają się w rodzaj kamiennego obwarzanka. Teraz ziemia robi się płaska, a przed sobą widzisz tylko wystające z trawy rzędy krzyży, wyglądające jak maszty kamiennej floty.

Za pięć dwunasta, po marszu w deszczu i błocie, przybyliśmy na miejsce. Około tuzina ludzi zgromadziło się przy grobowcu rodziny von Sokółka, by pożegnać ciało Sokoła. Firma Argentyńska Wołowina przysłała wieniec, co było bardzo miłym gestem. Niestety, pierwsza osoba, którą spotkaliśmy, okazała się dla nas mniej przyjemnym zaskoczeniem: nadinspektor Snape wyglądał prawie tak radośnie, jak rezydenci cmentarza. Dwa kroki za jego plecami stał Wrzontek ubrany w wygnieciony czarny garnitur z czarną opaską na rękawie.

- A, panowie Simple i Simple - zawołał Snape, kiedy nas zobaczył. - Zamierzałem was odwiedzić zaraz po zakończeniu tej malej uroczystości.

- Dlaczego? - zaniepokoił się Herbert.

- Otrzymaliśmy raporty na temat małego incydentu na Charing Cross. Pomyślałem, że będziecie mogli udzielić nam informacji na temat zniknięcia pewnej piosenkarki. Niejakiej Lauren Bacardi. Wygląda na porwanie. Zgadnijcie, jaki dzieciak jest naszym głównym podejrzanym?

- Jak pan chce, może mnie pan przeszukać.

- Pewnie niedługo to zrobię - zapewnił Snape, śmiejąc się jak głupi do sera. - Jesteś podejrzany o morderstwo, porwanie, picie alkoholu przed ukończeniem szesnastego roku życia, uchylenie się od zapłaty za butelkę szampana i zakłócanie spokoju w lokalu gastronomiczno-rozrywkowym. Mógłbym cię aresztować od razu. - Jesteś trupem, koleś - dorzucił Wrzontek.

- Dziękuję ci, Wrzontek - powiedział Snape, wzdychając.

- To dlaczego mnie nie aresztujecie? - zapytałem.

- Bo na wolności bardziej nam się przydasz. W celi byłbyś bezpieczny, prawda?

Skinął głową w kierunku żałobników, którzy skupili się wokół grobowca.

- Wciąż jestem ciekaw, co się z tobą stanie, mały. Chodź, Wrzontek.

Snape i Wrzontek ruszyli w kierunku grobu, a my poszliśmy za nimi. Okazało się, że Sokół ma zostać pogrzebany w starej części cmentarza, gdzie trawa była najwyższa, a nagrobki zdążyły zapaść się do połowy w ziemię. Przy czymś, co wyglądało jak antyczna budka telefoniczna, stał wikary. Z bliska okazało się, że był to kamienny, wysoki na półtora metra grobowiec, na którym postawiono rzeźbę sokoła z rozpostartymi skrzydłami i lekko rozchylonym dziobem. Na tablicy pod nim wryto cytat z Biblii.

DROGA SPRAWIEDLIWYCH JEST JAK BLASK ZORZY PORANNEJ, KTÓRA
CORAZ JAŚNIEJ ŚWIECI AŻ DO BIAŁEGO DNIA *Prz4, 18*

Pod spodem widniały imiona i nazwiska zmarłych von Sokolków: matki, ojca, dwojga dziadków, kuzyna... w sumie było ich siedmiu. W ziemi wykopano już prostokątny rów dla ósmego. Kiedy się zbliżyliśmy, właśnie opuszczano trumnę. Henry von Sokółka miał dołączyć do swoich przodków.

Lał coraz większy deszcz. Wikary rozpoczął ceremonię, ale ledwo było go słychać wśród plusku. Zacząłem przyglądać się żałobnikom. Szkoda, że trafiliśmy na taką psią pogodę. Przez parasole, postawione kołnierze i zgarbione plecy połowie w ogóle nie udało mi się przypatrzeć. Gdyby świeciło słońce, miałbym lepszy widok.

Rozpoznałem jednak Beatrice von Sokółka. To musiała być ona - wysoka, elegancka kobieta w czarnym futrze z nerek, za której plecami stał służący z parasolem. Jej twarz była ukryta za czarnym welonem, ale zauważyłem cienkie usta wykrzywione w wyrazie

potwornego znudzenia. Od czasu do czasu przytykała do oczu białą chustkę, ale nie wyglądała na pogrążoną w żalu. Tylko jej buty grzęzły w błocku. Snape mówił, że była największą holenderską aktorką. Za tę konkretną rolę nie dostałaby raczej Oscara.

Obok niej stał mężczyzna, który zwrócił moją uwagę, bo nie miał ani parasola, ani płaszcz. Był niski i krępy, siwowłosy, w okularach w drucianej oprawie i o twarzy sowy. Kiedy wikary przemawiał, mężczyzna przestępował z nogi na nogę i od czasu do czasu opierał się o nagrobek. Podobnie jak wdowa, nie wyglądał na specjalnie załamane. Wpatrywał się w grobowiec von Sokolków, ale było widać, że myśli o czymś innym.

Kto jeszcze tam był? Rozpoznałem dziennikarza, który pracował dla lokalnej gazety i napisał artykuł o Herbercie i o mnie, kiedy zaczynaliśmy działalność. Ale oprócz Snape'a, Wrzontka i wdowy nikogo nie znałem. Wikary zaczął się spieszyć, połykał słowa, aby tylko jak najszybciej uciec z deszczu. Miał zabłoconą komżę, a kartki Biblii kleiły się od wody. Gdy rzucał na trumnę garść ziemi, podmuch wiatru rzucił mu ją w oczy. Zamrugał, wykrztusił „amen” i uciekł. Beatrice von Sokółka odwróciła się i poszła za nim. Mężczyzna z twarzą sowy wpakował ręce w kieszenie i oddalił się w przeciwnym kierunku, w stronę Brompton Road.

- Bardzo wzruszające - oznajmił znajomy głos spod kolorowej parasolki trzymanej przez człowieka, który podszedł do nas niepostrzeżenie. To był Grubas. Powinienem przewidzieć, że przyjdzie.

- Jakże miło was znowu widzieć - powiedział tonem, który wyrażał coś dokładnie przeciwnego.

- Chodź - powiedziałem do Herberta.

Chciałem jak najszybciej wrócić do domu i schować się przed deszczem, ale Grubas zatarasował mi drogę.

- Lubisz pogrzeby? - spytał. - Myślałem, żeby wyprawić jeszcze jeden. Twój.

- Jestem za młody, żeby umierać - powiedziałem. - Co pana tu sprowadza, panie Grubasie?

- Von Sokółka i ja byliśmy starymi przyjaciółmi... bardzo dobrymi przyjaciółmi - wyjaśnił. - Miał coś, co bardzo podziwiałem...

- Tak. Pieniądze - zauważyłem. - No, ale wciąż nie znalazł pan klucza. Być może, należałoby o to zapytać Himmella i Gotta.

Znał ich, naturalnie. Zmrużył oczy, a wargi zadrgały mu, jakby przełykał ziarno zatrutej kukurydzy.

- Szukamy tego klucza, panie Grubasio - zapewnił Herbert. - I damy znać, jak tylko go znajdziemy.

- Mieliście dwa dni.

Grubas wyjął z butonierki goździka i wrzucił go do grobu.

- Wasz czas dobiegł końca - oznajmił, po czym obrócił się na pięcie i odszedł.

Miałem tego dość. Przyjście na pogrzeb okazało się stratą czasu. Utknęliśmy w martwym punkcie, w każdym tego słowa znaczeniu. Nie uzyskaliśmy niczego, może z wyjątkiem podwójnego zapalenia płuc, a jeżeli mieliśmy okazję spotkać kilku starych przyjaciół Sokoła, to i tak wolałbym się od nich trzymać z daleka. Herbert kichnął.

- Golnąłbym sobie whisky - powiedział grabarzowi oraz komukolwiek, kto mógł go usłyszeć.

Wiedziałem, że jak tylko wrócimy do domu, łyknie sobie solidną porcję tranu.

Mylilem się jednak. Sprawy potoczyły się zupełnie inaczej, niż przypuszczałem.

W drodze do domu zatrzymaliśmy się parę razy. Herbert zrealizował czek od rodziców i mogliśmy sobie pozwolić na zakup alka zeltzerów i drugiego pudełka czekoladek.

- Po co ci one? - spytał Herbert.

- Boli mnie głowa - odparłem.

- Nic... chodzi mi o maltanki.

Więc mu wytłumaczyłem. Ktokolwiek porwał Lauren Bacardi, może już wiedzieć, że Johnny Neapol spędził ostatni miesiąc życia, ganiając po Londynie z pudełkiem czekoladowych kuleczek. I może zechcieć je zabrać. Pudełko karła wciąż leżało schowane bezpiecznie pod podłogą. Kupiłem drugie, żeby się zabezpieczyć. Postawię je gdzieś, gdzie łatwo je będzie znaleźć, na wypadek, gdyby ktoś znowu próbował się włamać.

Weszliśmy do domu, ociekając wodą. Być może zauważyłem, że drzwi nie były zamknięte na klucz, a może nie. Nie pamiętam. Byłem po prostu szczęśliwy, że na łeb przestały mi się lać strugi deszczu. Poszliśmy na górę. Herbert znowu kichnął. Drzwi do biura były otwarte i tym razem to zauważyłem.

- Herbercie - powiedziałem.

Weszliśmy do biura. Herbert musiał spojrzeć od razu w stronę biurka, bo podszedł do niego i coś podniósł.

- Co to tu robi? - usłyszałem.

Nie spojrzałem na niego. Patrzyłem na zwłoki, które leżały pod jednym z okien. Minęła minuta, nim zdałem sobie sprawę, gdzie wcześniej widziałem tego człowieka, chociaż powinienem się tego domyślić, gdy tylko zauważyłem mundurek szofera. To był Lawrence,

kierowca Grubasa. Tego dnia też miał czarne okulary, ale jedno ze szkieł zostało rozbite przez pocisk.

- Nick... - wymamrotał Herbert, trzęsąc się jak galareta.

Spojrzałem na niego. No i zobaczyłem.

„Co to tu robi?” - zapytał przed chwilą Herbert. „Tym” był pistolet. Musiał leżeć na dywanie pod biurkiem. A teraz trzymał go Herbert. Wtedy otworzyły się drzwi i weszli Snape i Wrzontek. Ja znowu stałem pochylony nad martwym facetem, a Herbert znowu trzymał w ręce dymiący pistolet. Policjanci gapili się na nas z rozdziawionymi ze zdziwienia gębami.

- Jesteście... - zaczął Snape.

- Nie... - jęknął Herbert.

- Po prostu w to nie wierzę - powiedziałem.

Krokodyle łzy

Noc spędziliśmy na posterunku Ladbroke Grove. Nigdy przedtem nie spałem za kratkami - teraz zresztą też nie mogłem zasnąć. W celi stało piętrowe łóżko. Ja zająłem górną pryczę, a dolną wziął Herbert, który nabawił się na cmentarzu okropnego przeziębienia i ilekroć już miałem zasnąć, wydawał z siebie jedno ze swoich ogłuszających kichnięć. Samo łóżko też nie było specjalnie wygodne; wąska metalowa płyta, na której położono cienki materac, prześcieradło i dwa koce. „Pościel” była tak sztywna od brudu, że można było na niej ostrzyć noże. Nic mogąc zasnąć, zastanawiałem się nad tajemnicą maltanek, ale nic nie przychodziło mi do głowy. O północy upadłem na duchu. I, jak się okazało, nie tylko. Ocknąłem się na podłodze. Rozmasowałem cztery litery i wgramoliłem się z powrotem na pryczę.

- Nick... - odezwał się Herbert głucho. - Co?

- Spisz?

- Tak. Gadam przez sen.

- Nick, tak sobie myślałem... - Zrobił pauzę i kichnął. - Może mimo wszystko nie nadaję się na prywatnego detektywa - ciągnął, pociągając nosem.

- Dlaczego tak myślisz, Herbercie? - zapytałem.

- No, cóż... Jestem podejrzany o dwa morderstwa, porwanie i zakłócanie porządku. Grubas chce mnie zabić. Moje mieszkanie zostało zdemolowane. A moje śledztwo właściwie donikąd nie zaprowadziło.

- Coś jest na rzeczy - przyznałem. Westchnął.

- Rano powiem wszystko Snape'owi. Może sobie zabrać te czekoladki. Żałuję, że od razu mu ich nie oddałem.

To podziało na mnie jak kubeł zimnej wody. Trzy i pół miliona funtów w diamentach, a mój braciszek chce je oddać! Wychyliłem się z łóżka i spojrzałem w dół. Było tak ciemno, że niczego nie zobaczyłem, ale miałem nadzieję, że mówię w stronę uszu Herberta, a nie do jego stóp.

- Herbercie - wycodziłem - jeżeli piśniesz choć słowo o maltankach, sam cię zabiję.

- Ale, Nick...

- Nie, Herbercie. Te czekoladki to nasza ostatnia nadzieja.

- Ale...a...aa... psik - kichnął. - Ale mogę skończyć w więzieniu.

- Nie martw się. Będę cię odwiedzał w każdy piątek.

Obudzili nas o siódmej rano. Umyliśmy się, a potem strażnik przyniósł nam po kubku herbaty. Poprosiłem o kanapkę z bekonem, ale dostałem tylko po głowie. Snape i Wrzontek zaprowadzili Herberta do pokoju przesłuchań.

- Możesz iść, chłoptasiu - powiedział Snape. - Potrzebujemy tylko twojego brata.

- Jak długo zamierzacie go trzymać? - zapytałem. - Za pięć dni Boże Narodzenie.

- No i co z tego?

- Herbert nie miał jeszcze czasu kupić mi prezentu pod choinkę.

Snape był niewzruszony.

- Będziemy go trzymać, ile będzie trzeba - oznajmił. - Powiem urzędnikowi z opieki społecznej, żeby cię odwiedził.

- Ja go odwiedzę! - zaofiarował się Wrzontek.

- Nie, Wrzontek! - syknął Snape.

- On bardziej potrzebuje opieki społecznej niż ja - zauważyłem.

Wrzontek ruszył w moją stronę, ale Snape zdążył go powstrzymać.

- Nie bądź śmieszny, Wrzontek - burknął Snape. - Przecież wiesz, co ci mówiłem o serialach telewizyjnych...

- Chcę tylko... - zaczął Wrzontek.

- Nie! Nie! Nie! Ile razy mam ci powtarzać? Tak nie działa nowoczesna policja.

- Ale kiedyś... - oburzył się Wrzontek.

- Chyba w Transylwanii - uciął Snape, po czym zwrócił się do mnie: - Idź, synalku.

Sio!

Spojrzałem na Herberta, który kichnął żałośnie. Drzwi zatrzasnęły się i nagle zostałem sam.

*

Po powrocie do domu niewiele robiłem. Bo nie było nic do zrobienia. Siedziałem po prostu z nogami na biurku Herberta i zastanawiałem się, kto mógł załatwić szofera Grubasa i dlaczego. Po paru godzinach miałem to mniej więcej rozpracowane. To szło jakoś tak: Grubas dał nam dwa dni na dostarczenie mu klucza i skończył nam się czas, więc postanowił sam poszperać w naszym mieszkaniu. Zobaczył nas na pogrzebie i uznał, że nadarza się dobra okazja. Próbował nas jak najdłużej zatrzymać - bo niby w jakim celu miałby z nami rozmawiać - a w tym czasie jego lojalny szofer-włamywacz Lawrence miał przeszukać nasz dom.

Ale ci, którzy porwali Lauren Bacardi (wciąż stawiałem na Gotta i Himmella), zaczęli jej zadawać pytania i dowiedzieli się o pudełku maltanek. Postanowili więc je wykraść, tyle że zamiast słodczy zastali Lawrence'a. Może wywiązała się bójka? A może po prostu Lawrence nie przypadł im do gustu i ukatrupili go, ot tak. Chwilę później ja i Herbert wróciliśmy z pogrzebu, a oni uciekli w pośpiechu przez okno w łazience.

Proste jak drut.

Otworzyłem szufladę biurka. Falszywe pudełko maltanek leżało na swoim miejscu. Prawdziwe spoczywało w kurzu pod podłogą. Właśnie miałem je wyjąć i ponownie mu się przyjrzeć, kiedy zadzwonił telefon.

- Halo? - powiedział miękki kobiecy głos.

Uznałem, że to pomyłka. Nie znałem żadnej kobiety o miękkim głosie. Ale wtedy zapytała:

- Tim Diament?

- Nie ma go - odparłem. - Jestem jego partnerem. - Jego partnerem?

- Tak. Ale w tej chwili pracuję solo. W czym mogę pomóc?

Po drugiej stronie słuchawki zaległa cisza. W końcu kobieta o miękkim głosie namyśliła się.

- Może pan przyjechać... do Hampstead? Muszę się z panem zobaczyć.

- Przepraszam, kto mówi?

- Bcatrice von Sokółka.

Zastanawiające. Więc czarna wdowa wypełzła w końcu z ukrycia, a mówiąc ściślej, podpełzła do telefonu. Czego mogła ode mnie chcieć?

- Powiedzmy, że jestem zajęty - rzekłem.

- Zapłacę.

- Za przejazd metrem?

- Proszę przyjechać taksówką.

Zgodziłem się, więc podała mi adres na West Heath Road i powiedziała, żebym zjawił się o dwunastej. Zastanawiałem się, czy to nie kolejny podstęp, żeby po moim wyjściu ktoś mógł przeszukać mieszkanie, ale w końcu uznałem, że póki fałszywe czekoladki leżą w biurku, jestem kryty. Zmieniłem koszulę i przeczesałem włosy. Kiedy wychodziłem, nadal byłem wrakiem człowieka, tyle że bardziej schludnym. Gdy tylko wdowa odkryje, że mam trzynaście lat, i tak przestanie interesować ją mój wygląd.

Miałem zamiar zainkasować forszę za taksówkę, ale pojechałem metrem do stacji Hampstead, a potem poszedłem na piechotę. Jak byście nie wiedzieli, Hampstead znajduje się w północnej części Londynu, w zielonym pasie. W tym wypadku „zielone” oznaczało przede wszystkim pieniądze. Żeby mieszkać w Hampstead nie musisz być bogaty. Musisz spać na górze forsy. Zdawało mi się, że każdy samochód, który mnie mija, to rolls-royce. Tutaj nawet pojemniki na śmiecie mają wmontowane alarmy. Zapytałem napotkanego policjanta o drogę i po dwudziestu minutach marszu stanąłem przed siedzibą Sokoła.

Była ogromna. Kto twierdzi, że zbrodnia nie popłaca, powinien tu wpaść i rzucić okiem. To był dom, o jakim marzyłem. Dziesięć sypialni? Jedenaście? I to tylko na jednym piętrze. Przez okna na parterze wypatrzyłem kuchnię wielkości salonu i salon wielkości basenu olimpijskiego. Basen też tam był, widziałem go przez cztery okna na prawo od drzwi, ale biorąc pod uwagę skalę innych pomieszczeń, mogła to być po prostu łazienka.

Nacisnąłem dzwonek. Usłyszałem dryń, dryń i trochę mnie to rozczarowało. Po tym wszystkim oczekiwałem raczej pieśni chłopięcego chóru albo symfonii Beethovena. Drzwi otworzyły się i znowu przeżyłem zawód. Otworzyła mi Beatrice von Sokółka. A co się stało z lokajem? Popatrzyła na mnie obojętnie, z lekkim niesmakiem. Od razu było widać, że świetnie się dogadamy.

- Tak? - zapytała.

- Jestem Nick - powiedziałem. - Nick Diament. Prosiła pani, żebym przyszedł.

- Doprawdy?

Wzruszyła ramionami.

- Oczekiwałam kogoś starszego.

- Jak pani chce, mogę wrócić za dwadzieścia lat.

- Nie, nie... proszę wejść.

Poszedłem za nią, chociaż czułem się jak dzieciak. Była młoda, jak na wdowę; miała koło czterdziestki, a krótkie czarne włosy przylegały do jej głowy jak czepek kąpielowy. Miała bladą cerę i usta w kolorze ciemnej czerwieni. Była ubrana w rodzaj kimona albo

podomki z wycięciem sięgającym końca ud, a poruszała się, jakby nigdy nie opuściła sceny. Nie szła, ale płynęła. Trzeba przyznać, że miała klasę. Kryształowy kieliszek szampana w jej dłoni miał klasę. Nawet cynowa miska wypełniona kawałkami surowego mięsa, którą trzymała w drugiej ręce, miała klasę.

- Właśnie zamierzałam nakarmić moje zwierzątko - wyjaśniła.

- To pies? Zerknęła na miskę.

- Nie. Chyba wołowina.

Weszliśmy do sali z basenem, która została zaprojektowana tak, by można było siedzieć w bambusowym fotelu i, patrząc na pływających gości, sączyć drinka w barku na rogu. Tylko że nie było tam bambusowych ani żadnych innych foteli, bar był pusty, a ja byłem jedynym gościem. Rozejrzałem się i nagle zdałem sobie sprawę, że chociaż znajdowałem się w domu milionera, samych milionów już nie było. Jaśniejsze kwadraciki i prostokąty na ścianach wskazywały miejsca, gdzie kiedyś wisały obrazy. Karnisze nie podtrzymywały zasłon. Nawet rośliny w doniczkach pumierały. Dom okazał się pustą skorupą. Była w nim tylko wdowa, kieliszek szampana, cynowa miska i kawałki surowego mięsa.

- Fido! - zawołała. - Chodź, kochanie!

W basenie coś zachlupotało. Przełknąłem z wysiłkiem ślinę. Oprócz wdowy w kimonie z szampanem i miską mięsa w domu przebywał również... aligator. Kiedy ostatnio widziałem aligatora, wisiał na ramieniu bogatej damy i przechowywał puder i szminkę. Ten okaz wcale nic był jednak torebką. Był żywy, machał ogonem i łypał czarnymi upiornymi ślepiami.

- Nie bój się - powiedziała wdowa. - Fido bardzo lubi obcych.

- Serio? Surowych czy gotowanych? - wydusiłem przez ściśnięte gardło.

Uśmiechnęła się i rzuciła Fidowi kawał mięsa, a ten kłapnął olbrzymimi szczękami. Pani von Sokółka wzięła drugi kawałek.

- Chcę dostać wasze maltanki - oznajmiła.

- Maltanki?

Rzuciła mięso, ale bliżej niż poprzednio, żeby zwierzę do nas podpłynęło. Gad capnął krwawy kąsek i łypnął na mnie pożądliwie.

- Należały do mojego męża - kontynuowała. - Karzeł je ukradł, a teraz chcę je dostać z powrotem.

Wskazałem aligatora. Był zdecydowanie za blisko. Jeśli o mnie chodzi, czułbym się pewniej, gdyby oddalił się o jakieś sto kilometrów.

- Ma pani na to zwierzę pozwolenie? - zapytałem.

- Nic wiem - odparła. - To prezent od mojego świętej pamięci małżonka.

„Jeśli nie chcesz mojej zguby, krokodyla daj mi, luby” - przypomniało mi się.

- Nic myślała pani nigdy na przykład o kotkach? - zapytałem.

- Fido już dawno je pożarł.

Chciałem się odwrócić i wziąć nogi za pas, ale nic miałem pewności, czy uda mi się dobiec do drzwi na własnych nogach, czy też musiałbym się doślizgać do nich na tyłku. Aligator miał krótkie pomarszczone nóżki, ale w tej chwili moje wydawały mi się jeszcze krótsze. Bestia była nie więcej niż metr ode mnie. Serce podeszło mi do gardła, jakby gotowało się do samodzielnej ucieczki. Nie wiedziałem co robić. Jeszcze nigdy nikt nie groził mi aligatorem.

- Nie mam ich - powiedziałem. - Tim je ma.

- A gdzie jest Tim?

- W areszcie... Na posterunku Ladbroke Grove. Długo się nie odzywała i mierzyła mnie lodowatym spojrzeniem, próbując ustalić, czy mówię prawdę. W końcu roześmiała się i rzuciła resztę mięsa aligatorowi. (Jad zachlupotał i dał nura pod wodę.

- Podobasz mi się - powiedziała. - Jesteś odważny. Podeszła i objęła mnie ramieniem. Nie udało jej się mnie nastraszyć, więc teraz próbowała mnie oczarować. Bezskutecznie. Zastanawiałem się, czy nie wolałbym raczej pójść na randkę z aligatorem.

- Kiedy umarł Henry von Sokółka - powiedziała - zabrał do grobu wszystkie swoje pieniądze. To nie mój dom, Nick. Musiałam sprzedać meble, żeby zapłacić za wynajem. Nawet Fido musi pójść do zoo. Serce mi się kraje, ale nie stać mnie na jego utrzymanie. Niedługo zostanę zupełnie sama na tym świecie.

W jej oczach zakręciły się łzy. Krokodyle łzy, pomyślałem. A właściwie aligatorowe.

- Została mi tylko jedna deska ratunku, Nicholasie - ciągnęła rozzalona wdowa. - Maltanki. Henry chciał, żeby trafiły do mnie. Należą mi się.

- Co jest w nich takiego wyjątkowego? - spytałem.

- Dla ciebie, nic - odparła. - Ale dla mnie... są warte pięćset funtów. Tyle ci za nie zapłacę.

- Myślałem, że nie ma pani pieniędzy.

- Zdobędę je dla ciebie. Może Fido mimo wszystko skończy jako walizka.

Odprowadziła mnie do wyjścia i otworzyła drzwi.

- Porozmawiaj z Herbertem - powiedziała. - Kiedy go wypuszczą, przynieście mi maltanki. Będę miała te pieniądze, obiecuję. Dla ciebie te czekoladki są i tak bezwartościowe. Przecież na pewno zdajesz sobie z tego sprawę.

- A co z moimi pieniędzmi na taksówkę do domu? - zapytałem.

- Dostaniesz, kiedy przyniesiesz maltanki... - powiedziała, po czym zamknęła drzwi.

- Siemanko, aligatorku - mruknąłem na odchodnym. Więc to była Beatrice von Sokółka! Dziwna samotna kobieta, dzieląca wspomnienia z dziwnym samotnym zwierzęciem. Kiedy szedłem na stację Hampstead, nie dawały mi spokoju dwa pytania. Skoro Sokół był taki tajemniczy, to skąd wdowa po nim wiedziała o maltankach? To, że sam jej o tym powiedział, wydawało się mało prawdopodobne. Ale jeżeli nie on, to kto?

Druga sprawa była jeszcze dziwniejsza. Kiedy zadzwoniła, chciała rozmawiać z Timem Diamentem. Nie powiedziałem jej nic na temat brata. Więc skąd mogła wiedzieć, że naprawdę ma na imię Herbert?

Zabójca w deszczu

Tamtego popołudnia nie wróciłem do domu. Bez Herberta to nie byłoby to samo. Byłoby spokojniej, czyściej, bezpieczniej i ogólnie milej... Ale nie tak samo. Poza tym martwiłem się o niego. Nie chciałbym spędzić trzydziestu minut w towarzystwie Snape'a i Wrzontka, nie mówiąc już o całym dniu. Wrzontek mógł go przecież zatłuc na śmierć. Z drugiej strony, gdyby powiedział im o maltankach, sam bym go zamordował. Z którejkolwiek strony na to patrzeć, Herbert był w poważnych tarapatach. Uznałem, że im szybciej dowiem się, co jest grane, tym lepiej dla niego.

Sytuacja wyglądałaby lepiej, gdyby Lauren Bacardi zdążyła nam powiedzieć, gdzie był karzeł, kiedy rozwikłał zagadkę maltanek. Gdybym zobaczył to, co on, być może udałoby mi się rozwiązać łamigłówkę. Miałem jednak ponure wrażenie, że jedynym sposobem na ponowną rozmowę z Lauren Bacardi byłoby przeniesienie się na tamten świat. Ludzie, którzy ją porwali, raczej się nie patyczkowali. Prawdopodobnie ich zakładniczka miała już w sobie więcej ołowiu niż dzwon kościelny.

Został więc tylko karzeł. Sam Johnny Neapol mógł wachać kwiatki od spodu, ale gdyby udało mi się odnaleźć jakiś ślad po nim, mógłbym się dowiedzieć więcej o całej sprawie. Jego pudełko zapalek zaprowadziło nas do Lauren Bacardi. Zastanawiałem się, co jeszcze mógłbym znaleźć w obskurnym pokoiku, w którym się zatrzymał. Zamiast do domu pojechałem więc metrem do Notting Hill i poszedłem na ulicę Portobello do hotelu Luksus.

Po drodze minąłem sklep Hammett's. Facet, który tam pracował, zobaczył mnie przez okno. Teraz wydaje mi się, że musiał chwycić za telefon i zadzwonić do hotelu. A w hotelu Jack Luksus musiał wykonać kolejny telefon. Tak mi się teraz wydaje. W każdym razie przejście od sklepu Hammett's do hotelu zajęło mi jakieś dziesięć minut, co w zupełności wystarczyło do zorganizowania mojej śmierci.

Hotel Luksus wyglądał dokładnie tak, jak go zapamiętałem; niebezpiecznie opierał się o kolumny estakady. Przebrany policjant i pies oczywiście zniknęli, ale pojemniki na śmiecie nadal tam stały, a po ulicy wały się odpadki. Było po trzeciej, ale już zaczynało się ściemniać. Minął mnie starzec niosący dwie plastikowe torby wypchane śmieciami. Zimny wiatr rozsypywał papierzyska po chodnikach. Dołujące? Cóż, za pięć dni miały być święta i sam byłem zdolowany.

Wszedłem do hotelu. Jack Luksus siedział za kontuarem tak jak podczas naszego pierwszego spotkania. Gapił się w tanie brudne czytadło. Książka była tak brudna, że nie można było odczytać połowy słów. Wyglądała tak, jakby ktoś wywalił na nią śniadanie. Jack Luksus ciągle międlił w ustach cygaro - pewnie to samo, co poprzednio. Koszuli też nie zmienił. Kiedy ostatni raz ją zmieniał, pewnie nie było mnie jeszcze na świecie.

- Witam - powiedziałem.

- Czego?

Ten człowiek naprawdę wiedział, jak sprawić bliźniemu przyjemność.

- Chcę wynająć pokój.

- Na jak długo?

- Na godzinę. Nasrożył się.

- W tym hotelu pokoje wynajmuje się na noc. Za piętnaście funtów: szesnaście, jeżeli ma być z łóżkiem.

Udało mi się przejąć forszę, nim rozstałem się z Herbertem, i teraz wysypałem na kontuar pieniądze i odliczyłem szesnaście funciaków. Luksus przyjął należność, wstał i sięgnął po klucz.

- Chcę pokój numer 39 - powiedziałem. - A jeżeli jest zajęty?

Pokazałem palcem tablicę z haczykami.

- Klucz wisi na swoim miejscu - zauważyłem. - Zresztą, kto by potrzebował klucza? W drzwiach i tak nie ma zamka.

- To porządny hotel, chłoptasiu - oburzył się właściciel, a cygaro, które międlił w ustach, zachybotało się, jakby kiwał na mnie wielki brązowy paluch. - Jak ci się nie podoba, możesz iść gdzie indziej.

Nie podobało mi się, ale musiałem przyjąć jego warunki.

- Niech mi pan po prostu da ten klucz - powiedziałem.

Powyklócał się ze mną jeszcze trochę. Myślałem, że chce wyděbić więcej kasy, ale oczywiście zatrzymywał mnie specjalnie. Kazano mu to zrobić. W końcu dał mi klucz, tak jak zamierzał od samego początku. Powiniennem od razu rozszyfrować tę grę, ale miałem ciężki dzień, byłem zmęczony i... No dobra, może nie byłem takim mądralą, za jakiego się uważałem.

W każdym razie facet dał mi klucz i wdrapałem się po schodach na czwarte piętro, a następnie poszedłem do końca korytarza, do pokoju numer 39. Dopiero po wejściu do środka zacząłem mieć wątpliwości; Może to jednak nie był najlepszy pomysł. Wydawało się mało prawdopodobne, że pokój został wysprzątany po śmierci karła - mało prawdopodobne, żeby którykolwiek pokój w hotelu Luksus kiedykolwiek sprzątano - lecz policja na pewno dokładnie go przeczesała. Ale skoro już byłem na miejscu, uznałem, że nie zawadzi trochę się rozejrzeć. W końcu wywaliłem na ten cel szesnaście funtów.

Zacząłem od szuflad. Nie znalazłem nic oprócz powyginanej agrafki, naftaliny i martwego mola. Zająłem się więc stołem, który powinien mieć pod blatem szuflady, ale ktoś je ukradł. Zostało tylko łóżko. Usiadłem na nim, przypominając sobie, jak leżał na nim Johnny Neapol z czerwoną plamą na koszuli. Karzeł spał w tym łóżku, chodził po tym pokoju, mieszkał w nim, prawdopodobnie tu rozwiązał zagadkę trzech i pół miliona funtów. Tutaj też umarł.

Za oknem dudniły koła jadących estakadą samochodów. Zastanawiałem się, jak karzeł mógł tu zasnąć.

Nagle mój wzrok padł na stojący w kącie kosz na śmieci. Był to zniszczony i popękany kubek z zielonego plastiku, który sam dawno powinien był wylądować na śmietniku. Zacząłem w nim grzebać. Znalazłem dwa opakowania po chrupkach, papierek po czekoladzie, parę zużytych baterii i pudełko po papierosach. Już miałem wrócić do oględzin łóżka, kiedy coś sobie przypomniałem. Dla policji mogło to nie mieć znaczenia - dlatego tego nie zauważyli, ale ja miałem nad nimi przewagę. Tamtego dnia, kiedy się wszystko zaczęło, w naszym biurze Neapol palił tureckiego papierosa. W koszu leżała paczka po tureckich papierosach. Musiała należeć do karła.

Wyjąłem ją i otworzyłem, licząc, że znajdę... bo ja wiem... numer telefonu zapisany na wewnętrznej ścianie albo coś w tym rodzaju. To, co znalazłem, było nawet lepsze. Były to strzępy papieru, schludnie poprzedzianego na małe kwadraciki. Wysypałem je na podłogę i zacząłem się im przyglądać. Na niektórych skrawkach zauważyłem fragmenty słów

napisanych niebieskim atramentem. Wkrótce udało mi się rozszyfrować układankę. Było to kilka angielskich słów, a obok słowa, które uznałem za ich hiszpański przekład.

Cyfrowy czytnik

Fotokomórka

Dioda świecąca

Szczerze mówiąc, trochę się zawiodłem. Po co Neapol miałby zapisywać takie rzeczy? Byłem pewien, że ma to jakiś związek z mai tankami. To by wyjaśniało, dlaczego po podarciu kartki karzeł postanowił dodatkowo się zabezpieczyć i schował strzepy w paczce po papierosach. Prawdopodobnie wrzuciłby wszystko do sedesu i spuścił wodę, gdyby w tym luksusowym hotelu w ogóle były sedesy. Najbardziej zastanowiło mnie hiszpańskie tłumaczenie. Przypuśćmy, że Neapol natknął się na te kilka słów, szukając diamentów. Dobrze mówił po angielsku, ale nie aż tak. Mógł nie do końca rozumieć, o co chodzi, więc zanotował sobie te słowa, żeby potem przetłumaczyć je ze słownikiem na hiszpański.

Sęk w tym, że ja też ich nie rozumiałem. Oczywiście to musiało mieć jakiś związek z techniką, ale technika nigdy nie była moim konikiem. Gdybyście poznali mojego nauczyciela od zetpetów, zrozumielibyście, dlaczego. Jeżeli technika kiedykolwiek była jego konikiem, to ten konik zdechł już dawno temu.

Pozbierałem wszystkie karteczki i schowałem je do kieszeni. Przeszukałem szuflady, stół i kosz na śmieci. Zostało jeszcze łóżko. Próbowałem zajrzeć pod spód, ale szpara okazała się za wąska. To był jeden z najstarszych tapczanów, jakie widziałem. Miał grube drewniane listwy, zardzewiałe sprężyny i materac grubości pięćdziesięciu centymetrów. Omal nie wykorkowałem, próbując podnieść to monstrum i postawić na boku. Ale udało się, chociaż to, co odkryłem - pożółkła gazeta, stary kapeć i kurz sprzed dziesięciu lat - nie było warte wysiłku.

Ale właśnie łóżko uratowało mi życie.

Już miałem postawić tapczan na miejsce, kiedy usłyszałem trzask wybijanej szyby, a zaraz potem warkot silnika samochodowego i pisk opon.

Do pokoju wleciało coś zgniłozielonego wielkości piłeczki tenisowej. W ułamku sekundy zorientowałem się, że to nie była zielona piłeczka tenisowa. Rzuciłem się na podłogę. Granat uderzył w łóżko, odbił się i poturlał do okna. I wybuchł.

Powinien mnie zabić, ale leżałem plackiem na podłodze, osłonięty ścianą z drewna, sprężyn i materaca. Mimo to czułem się jak w piecu. Nagle cały pokój stanął w ogniu - nie tylko pokój, ale także powietrze w pokoju. Podłoga podskoczyła do góry jak wielka pięść,

uderzając mnie w brzuch. Eksplozja była tak głośna, że omal nie rozerwało mi czaszki. Chwilę później uderzyła mnie fala sprężonego powietrza, unosząc i rzucając na drzwi, które z trzaskiem wypadły z framugi. Straciłem przytomność i ocknąłem się dopiero na podłodze w korytarzu. Nie wiem, jak długo tam leżałem. Może dziesięć minut, a może dziesięć dni.

Obudziłem się z ustami pełnymi drzazg. Do uszu wrzeszczały mi dwie histeryczne śpiewaczki operowe. Właściwie to nie były śpiewaczki, ale tak to brzmiało. Moje ubranie było w strzępach i czułem, jak z rany nad brwią płynie mi krew. Mimo to, jak na kogoś, kto przeżył wybuch granatu, byłem w zadziwiająco dobrej formie. Miałem mnóstwo siniaków, ale nie było żadnych złamań. Wstałem niezgrabnie, oparłem się plecami o ścianę, żeby nie upaść, za to upadła ściana. W powietrzu było za dużo kurzu i dymu, żebym mógł cokolwiek widzieć. Postanowiłem poczekać, aż trochę się przejaśni.

Hotel Luksus przez ostatnie dwadzieścia lat czekał tylko na powód, żeby się zawalić. Granat z całą pewnością wystarczył. Cała tylna ściana, ta najbliższej estakady, zawałiła się, a ja stałem teraz na kawałku podłogi, który wisiał w powietrzu. Trząśłem się z zimna i szoku, a wiatr rozdmuchiwał dym. Słyszałem odgłosy jadących samochodów. Zdziwiło mnie, że nikt się nie zatrzymał... Ale niby jak? To była estakada. Na pewno policja niedługo ją zamknie, ale gdyby teraz ktoś się tam zatrzymał, do wysadzonego w powietrze hotelu dołączyłaby jeszcze gigantyczna kraksa samochodowa.

Cofnąłem się, szukając schodów albo tego, co z nich zostało. Wyglądało na to, że to ostatnia noc hotelu Luksus. Wszystko się paliło, słyszałem trzask drewna i syk połamanych rur. Nadal szwankował mi słuch, ale zdawało mi się, że słyszę krzyczących ludzi, a w oddali syreny policyjnych radiowozów, karettek i wozów strażackich. Obok mnie przebiegł goły facet z twarzą namydloną pianką do golenia. Poszedłem za nim. Obaj uniknęliśmy tego dnia brzytwy.

Mój anioł stróż musiał chyba tego wieczoru pracować po godzinach. Na szczęście nie należał do związku zawodowego. Żelazna rura śmignęła mniej niż centymetr od mojego ucha, a ja nawet jej nie zauważyłem, dopóki nie walnęła o ścianę i nie obsypała mnie pyłem tynku. Odwróciłem się i zobaczyłem Jacka Luksusa podnoszącego następny pręt. Jego koszula była w strzępach, a brzuch nie wyglądał dużo lepiej. Obydwie nogawki jego spodni zostały urwane na poziomie kolan. Zdałem sobie sprawę, że w momencie wybuchu musiał się znajdować w pobliżu pokoju Karła. I nic wydawał się zbyt zadowolony, że przeżyłem.

Posłał pręt w moją stronę, ale tym razem zrobiłem unik. Jack miał jakieś dwadzieścia kilogramów nadwagi i to sprawiało, że ruszał się zbyt wolno. Chociaż z drugiej strony wcale nie musiał się spieszyć. Stał między mną a schodami. Za plecami czekał na mnie upadek z

wysokości czwartego piętra, a po bokach buchały płomienie. Zastanawiałem się, czy uda mi się przeskoczyć na estakadę. Od końca podłogi dzieliły ją może dwa metry, ale w moim obecnym stanie to było o metr za daleko. Uskoczyłem do tyłu i znalazłem się w tym, co pozostało po feralnym pokoju 39. Ogień był coraz bliżej. Jack Luksus też.

Krzyczał na mnie. W całym tym zamieszaniu i z dzwonieniem w uszach trudno mi było zrozumieć, co mówi, ale domyśliłem się, że wini mnie za zniszczenie hotelu. Musiał naprawdę lubić tę budę. Łzy ciekły mu po policzkach i z prawdziwym uczuciem ścisnął w rękę następny metalowy pręt. Chciałem mu wytłumaczyć, że to nie moja wina, że przejeżdżający kierowca postanowił rzucić we mnie bombę, ale Luksus nie chciał słuchać głosu rozumu. Dostał szału. I chciał mnie ukatrupić.

Zamachnął się, trzymając pręt w obu rękach, ale zaplątał się w kabel elektryczny. Wyrwał go ze ściany, aż iskry zatańczyły w powietrzu. To wystarczyło, żeby odwrócić jego uwagę na tyle długo, aby udało mi się chwycić nogę od stołu i przydzwonić mu w brzuch. Jęknął i upuścił pręt. Znowu mu przywaliłem, aż zatoczył się na krawędź podłogi.

Zamachał rękami w powietrzu, próbując złapać równowagę. Piętnaście metrów niżej czekał na niego twardy, zimny, betonowy chodnik. Luksus wrzasnął i majtnęło nim do przodu. W ostatnim momencie chwycił się krawędzi estakady. I tak właśnie skończył: jako żywy pomost. Stopami opierał się o podłogę, dłonie desperacko zaciskały się na metalowych prętach sterczących z brzegu estakady, a reszta ciała wyginała się niebezpiecznie do dołu. Obejrzałem się za siebie. Płomienie odcięły drogę do schodów. Nie mógłbym nawet przejść przez framugę po drzwiach. Nie uśmiechał mi się jednak skok na estakadę, więc Jack Luksus był moją ostatnią deską ratunku. A właściwie mostem. Zrobiłem dwa duże kroki. Postawiłem stopę na jego plecach i przeszedłem bezpiecznie na drugą stronę.

- Hej, kolego! - usłyszałem i podszedłem do niego. Był potężnym mężczyzną, ale nie mógł wytrzymać zbyt długo, wisząc w powietrzu.

- Pomóż mi! - syknął, zlany potem.

Resztki koszuli powiewały mi na wietrze. Nie więcej niż kilka centymetrów ode mnie ryczały przejeżdżające samochody. Niektórzy kierowcy trąbili na mnie, ale nie mogli zobaczyć Jacka Luksusa. Przykucnąłem nad nim. Do tego czasu zdążyłem zrozumieć kilka spraw.

- Kto to był, Luksus? - zapytałem. - Kto rzucił granat?

- Błagam! - jęknął.

- Musiałeś im powiedzieć, że tam jestem. Ale komu? Teraz nie mógł się wymigać. Z każdą minutą robił się coraz słabszy, a płomienie zaczęły podchodzić do jego stóp.

- Grubas - zachrypiał. - Przewidział, że możesz wrócić do hotelu. Zapłacił mi, żeby... zadzwonił, kiedy się pojawisz.

- Dlaczego?

- Obraziłeś go. Nikt nie obraża Grubasa. Ale nie wiedziałem, że będzie próbował cię zabić. W każdym razie... nie granatem. Słowo, kolego. Myślałem, że strzeli w okno, żeby cię trochę nastraszyć.

Jasne, pomyślałem. A ty pobiegłeś na czwarte piętro, żeby sobie na to popatrzeć.

- Pomóż mi! - zajęczał. - Podaj mi rękę. Nie wytrzymam dłużej.

- To prawda - powiedziałem, wyprostowując się.

- Nie możesz mnie tak zostawić. Nie możesz!

- Chcesz się założyć?

Odszedłem, zostawiwszy go zawieszzonego między ścianą ognia a estakadą, piętnaście metrów nad ziemią. Może policja albo strażacy w końcu go uratowali. Szczerze mówiąc, gucio mnie to obchodzi. Jack Luksus wystawił mnie na pewną śmierć. Może nie spodziewał się granatu, ale wiedział, że z Grubasem nie ma żartów.

Zaczął lać deszcz. Otuliłem się resztkami koszuli i podreptałem do domu.

Profesor

Obudził mnie zapach lawendy. Lawendy? Tak, perfum. Już gdzieś czułeś ten zapach, Nick. Tylko gdzie? Nie pamiętam, może mieszał się z zapachem surowego mięsa i... Przełknąłem z wysiłkiem ślinę, przeciągnąłem się i otworzyłem oczy.

- Jejuniu! Ale widok! - wykrzyknęła Betty Sprzątaczką.

Leżałem wyciągnięty na biurku Herberta. Musiałem wracać do domu na piechotę i kiedy dotarłem, byłem zbyt zmęczony, by wdrapać się na górę. Spojrzałem na schody. Prowadziły do łóżka ze skotłowaną pościelą i źle skręconą drewnianą ramą. Nigdy tam nie dojdę, pomyślałem, więc poszedłem do biura i padłem. A teraz stała nade mną Betty Sprzątaczką, przyglądając mi się, jakbym był przybyszem z innej planety.

- Co się stało? - zapytała, potrząsając głową, aż sztuczne stokrotki na jej kapeluszu dostały konwulsji.

- Miałem ciężką noc - odparłem. - Jak się pani tutaj dostała?

- Przez drzwi.

- Były otwarte? Pokiwała głową.

- Trzeba zamykać drzwi na noc, paniczu Nicholasie. Nigdy nie wiadomo, kto może przyjść...

Potrzebowałem gorącej kąpieli, gorącego posiłku, dwóch aspiryn i ciepłego łóżka - niekoniecznie w tej kolejności. Ale poszedłem tylko do łazienki umyć twarz i ręce, a w tym czasie Betty przygotowała mi śniadanie: jajka na twardo, tost i kawę. Łypnąłem w lustro. Zobaczyłem nieznanego z rozczochranymi włosami, worami pod oczami i paskudną raną nad brwią. Zal mi było tego gościa. Jeżeli czuł się tak, jak wyglądał, musiał być w bardzo kiepskim stanie. Zastanawiałem się, czy w tak kiepskim, jak ja.

Dziesięć minut później siedziałem przy stole w kuchni i jadłem. Betty uparła się, żeby pokroić mi tost w żołnierzyki, co było dość upokarzające. Grożono mi, wysadzono w powietrze, zaatakowano, a tutaj znowu traktowano mnie jak dziecko. Ale zdaje się, że miała dobre intencje.

- Gdzie jest pan Timothy? - zapytała.

- Herbert? - powiedziałem. - Siedzi w areszcie. Jest podejrzany o morderstwo.

- Morderstwo! - wrzasnęła. - Przecież to zbrodnia!

- No... tak.

- Nie. To zbrodnia oskarżać pana Herberta o coś takiego. - Pokręciła głową. - Przecież od razu widać, że nie potrafiłby skrzywdzić nawet muchy.

Miała rację, jeśli o to chodzi. Herbert uciekał od much. Był prawdopodobnie jedynym prywatnym detektywem w Anglii, który boi się rybek w akwarium.

- Więc prowadzisz za niego całe śledztwo - powiedziała.

Skinąłem głową.

- Dowiedziałeś się czegoś?

Czy czegoś się dowiedziałem? Cóż, dowiedziałem się, że Beatrice von Sokółka ma dziwny gust, jeśli chodzi o domowe zwierzaki. Dowiedziałem się, że jak się stoi za blisko eksplodującego granatu, to potem bolą uszy. Dowiedziałem się, że Grubasowi nadal zależało na wadze, a ja byłem ciężarem, którego zamierzał się pozbyć. Ale po podsumowaniu doszedłem do wniosku, że wszystko, czego się dowiedziałem, można było zapisać na odwrocie znaczka pocztowego. I nie trzeba by było pisać drobnym maczkiem.

- Nie, Betty - powiedziałem. - Niczego się nie dowiedziałem. Chyba że wiesz, co to jest cyfrowy czytnik albo fotokomórka.

- Co? - zapytała.

Kawałki papieru, które znalazłem w pokoju karzełka nadal leżały bezpiecznie w mojej kieszeni. Tylko że kieszeń nadal leżała w hotelu. Odpadła od koszuli, kiedy wybuchł granat, a

ja za żadne, nawet trzyipółmilionowe skarby nie potrafiłem sobie przypomnieć słów, które były tam zapisane.

- Idę się wykapać - oznajmiłem.

- Odkręcę ci wodę - zaofiarowała się Betty. Potrząsnąłem głową. Jeszcze odrobina zachęty, a zaoferowałyby, że umyje mi plecy.

- Nie, dzięki... możesz iść do domu. Poradzę sobie.

- A co ze sprzątaniami?

Sięgnąłem do kieszeni i wyciągnąłem dziesięć funtów. Ciężko mi się było ich pozbywać, ale trzeba przyznać, że Betty odwaliała kawał dobrej roboty. Kiedy przyszła, mieszkanie wyglądało jak zabałaganiony śmietnik. Teraz przypominało raczej... śmietnik uporządkowany.

- Proszę - powiedziałem. - Wróc za tydzień, po świętach.

- Hu! ha! - Capnęła banknot. - Wesołych świąt, paniczku Nicholasie - mruknęła pod nosem.

- Wesołych świąt, Betty - powiedziałem.

*

W jakiś czas później z pięknego snu obudził mnie dzwonek do drzwi. Zerknąłem na zegarek. Za dziesięć piąta. Kiedy się kładłem, też była za dziesięć piąta. Albo sen był bardzo krótki, albo potrzebowałem nowego zegarka. Przystawiłem go do ucha i potrząsnąłem. Usłyszałem tępe „brzdęk” i odpadła wskazówka. Teraz zegarek pokazywał za dziesięć którąś.

Wciągnąłem na tyłek parę dzinsów i sweter i zlazłem na dół. Dzwonek nadal dzwonił. Ktokolwiek czekał za drzwiami, musiał się opierać całym ciałem o przycisk. Nacisnąłem guzik domofonu, żeby go wpuścić, mając nadzieję, że o mnie nic będzie chciał się opierać. Ostatnio miałem tego dość. Poszedłem do biura i po prostu siedziałem, czekając, aż wejdzie mój klient.

No i wszedł. A właściwie wtarabanił się przez drzwi, ślaniając się na nogach. Poczułem go jeszcze, zanim go zobaczyłem. Musiało być około południa, a mój gość chlał chyba od śniadania whisky, bo jechało od niego jak od gorzelni.

Wydał mi się znajomy. Około sześćdziesięciu lat, niski, krępy, nieogolony, sowiasty, na nosie miał okrągłe okulary, a na karku szary wymiętoszony płaszcz z dużymi kieszeniami, w których mógł trzymać butelki.

Zataczając się, podszedł do mnie i osunął się ciężko na jedno z krzeseł, które naprawiła Betty Sprzątaczką, po czym rozprostował nogi. Miał zielone skarpetki. Widziałem je przez dziury w podeszwach. Czekałem, aż coś powie, ale wcale mu się nie spieszyło.

Wydobył z kieszeni papierosa, rozprostował go, wetknął do ust i zapalił trzęsącą się ręką. Zapalka nieomal spaliła mu palce, zanim udało mu się znaleźć czubek papierosa. Był pijakiem. Był pijakiem krótkowidzem. Nagle przypomniałem sobie, gdzie go widziałem. Na pogrzebie Sokoła. Stał - kołysał się - obok Beatrice von Sokółka.

- Dobrze sobie przysiąść - powiedział. - Jest pan zmęczony? - zapytałem.

- Nie. Po prostu ciągle upadam, kiedy stoję. Albo na coś włożę. - Wciągnął dym. -
Widzi pan, mam taki problem...

- Alkohol? - mruknąłem ze zrozumieniem.

- Dziękuję. Poproszę dużą szkocką.

Pokręciłem głową i przysunąłem mu popielniczkę. Wyjął z ust papierosa i strzepnął popiół na biurko.

- Kim pan jest? - zapytałem.

- Nazywam się Jojko - powiedział. - Janusz Jacek Jojko.

- Widzę, że pańscy rodzice lubili - zauważyłem.

- Tak, zgadza się co do joty, ale nie po to przyszedłem. Mógł pan o mnie słyszeć.

Kiedyś nazywano mnie Profesorem.

Jasne, że słyszałem o Profesorze. Snape mówił, że Profesor był prywatnym naukowcem Sokoła, kimś w rodzaju złotej rączki. Ale mniej więcej rok temu zniknął. Patrząc na niego, domyśliłem się, dlaczego. Profesor mógł być kiedyś genialnym wynalazcą, ale teraz wyglądał jak zwykły kloszard. Jego cera przypominała pięcioletni ser, mówił chrypliwym, bełkoczącym głosem. Wypuścił dym nosem i zakasłał. Papierosy go zabijały, a woda organizowała pogrzeb.

- Chciałem się zobaczyć z pańskim bratem - oznajmił.

- Nic ma go.

- Widzę, proszę pana. Niewiele widzę, ale to akurat tak.

Wyciągnął z kieszeni butelkę whisky, odkręcił i, mrużąc oczy, wypił spory łyk. Gorzałka spłynęła po szyi. Wyjął z ust papierosa.

- W porządku - powiedział. - Podzielę się z panem.

Po połowie.

- Papierosem? - zapytałem.

- Bardzo zabawne, proszę pana. Widzę, że ma pan poczucie humoru.

Wetknął papierosa między wargi i zakasłał chrypliwie.

- Wie pan, kim jestem? - zapytał. - Już mi pan powiedział.

- Kiedyś byłem mózgiem Sokoła. - Walnął się pięścią w pierś i zacharczał. - Sokół chciał, żeby coś naprawić, a ja naprawiałem.

- Na przykład toster? - zapytałem.

- O nie, proszę pana. Byłem wynalazcą. Projektowałem i robiłem dla niego rzeczy, których by pan nie zrozumiał.

Odniosłem ponure wrażenie, że on też ich już nie rozumiał. Kiedyś był mózgiem Sokoła, ale teraz najwyżej kurzym mózdzkiem.

- I co się stało? - zapytałem.

- To się stało - powiedział, wymachując butelką. - Ale wiem, co pan ma. Naprawdę wiem. Widziałem pana na pogrzebie i domyśliłem się. Pudełko maltanek, zgadza się? Cóż... wiem, jak się nimi posłużyć. Możemy razem nieźle zarobić.

- Co pan sugeruje, profesorze? - zapytałem.

- Da mi pan czekoladki i poczeka tutaj na mnie. - Uśmiechnął się do mnie krzywo. - Jutro wrócę z połową pieniędzy.

Pokiwałem głową, udając, że rozważam propozycję. Tak naprawdę byłem zdziwiony. Oto człowiek, który systematycznie się zabija, którego nie stać na porządną parę butów i który wygląda, jakby zarabiał na whisky straszaniem wróbli. I ten facet uważa, że może mnie okantować tylko dlatego, że jestem dzieckiem, a on tak zwanym dorosłym. Przypominał mi mojego nauczyciela od matematyki. Znać ten typ. Myśli, że rządzi światem tylko dlatego, że wie, jak obliczyć kąty trójkąta równoramiennego. Postanowiłem, że będę rznął głupa.

- Dam panu czekoladki - powiedziałem - a pan wróci jutro z połową forsy?

- Właśnie, proszę pana - przytaknął Jojko, który opróżnił już butelkę i rzucił nią w kierunku kosza. Chybił i szkło roztrzaskało się o ścianę. Wydawało się, że tego nie zauważył.

- Ale co te maltanki robią? - zapytałem.

- Otwierają... - Opamiętał się w samą porę. - Powiem panu, kiedy wrócę z pieniędzmi - oznajmił.

Wiedziałem, że jak tylko dam mu maltanki, już nigdy go nie zobaczę. Ale miałem pewien pomysł. Otworzyłem szufladę biurka i wyjąłem pudełko, które schowałem tam parę dni wcześniej.

- Proszę - powiedziałem, pokazując mu zwyczajne opakowanie maltanek.

Chwycił łakomie pudełko, ale wciąż mocno je trzymałem.

- I wróci pan? - zapytałem.

- Oczywiście, proszę pana, że wrócę. Przysięgam nJ grób matki.

Staruszka pewnie jeszcze żyła.

- Kiedy? - zapytałem. - Jutro rano - zapewnił.

Puściłem pudełko, a on przytulił je chciwie do brudnego płaszcza.

- Jutro rano - powtórzył.

Wyszedł i zatrzasnął za sobą drzwi.

Odczekałem pół minuty, nim zacząłem go śledzić. Nie zobaczyłby mnie za swoimi plecami. Z jego wzrokiem nie zauważyłby nawet, gdybym szedł obok niego. A jeśli Janusz Jacek Jójko naprawdę wiedział, gdzie były ukryte diamenty Sokoła, doprowadzi mnie na miejsce. Pudełko czekoladek, które mu dałem, było oczywiście bezużyteczne. Ale może pozwolę mu je zatrzymać, w końcu doprowadzi mnie do fortuny. Tak to sobie zaplanowałem, ale oczywiście byłoby to zbyt proste. Kiedy wydaje się, że nic nie może pójść nie tak, wszystko bierze w łeb. W tym wypadku to ja dostałem w łeb. Ledwo zdążyłem zamknąć za sobą drzwi, a tu „bum” i straciłem przytomność.

Domowe ciasteczka

Szkoda, że nikt mi nie powiedział, iż w Londynie obchodzony jest właśnie Tydzień Bicia Nicka Diamenta. Już dwa razy w ciągu dwóch dni dostawałem manto i trochę zaczynało mnie to męczyć. Ani uderzenie w tył I głowy, ani następująca po nim utrata przytomności nie są aż tak niemiłe. Najgorzej jest, kiedy przytomność odzyskujesz. Boli cię głowa, masz sucho w gardle i czujesz się bardzo, bardzo niedobrze. Jeśli w dodatku jest ciemno jak u Murzyna w... siedzisz zamknięty w półciężarówce i jedziesz nie wiadomo dokąd, zaczynasz się bać.

Nadal byłem w Londynie. Słyszałem odgłosy jadących obok samochodów, a półciężarówka często się zatrzymywała. Raz - kiedy stanęliśmy się na światłach czy coś w tym rodzaju - usłyszałem na zewnątrz jakieś niewyraźne głosy i zacząłem się zastanawiać, czy nie zacząć walić pięści w blaszaną ścianę samochodu. Pewnie i tak nic by to nie dało, lecz kiedy się w końcu zdecydowałem, auto ruszyło. Po kilku minutach zatrzymaliśmy się, a chwilę później otworzyły się drzwi. Słońce już zachodziło, więc nie było zbyt jasno, ale po przejeździe w zupełnej ciemności światło i tak mnie poraziło.

- Wsiadka - powiedział dźwięczny męski głos z lekkim niemieckim akcentem. Już gdzieś go słyszałem.

Wsiadłem.

Kiedy przyzwyczailem się do światła, zobaczyłem tabliczkę z nazwą ulicy: BAYLY SE1. Oznaczało to, że byłem gdzieś na południe od Tamizy. Rozejrzałem się. Znajdowałem się w dzielnicy starych magazynów. Po obu stronach ulicy pięły się w górę czteropiętrowe,

ceglane budynki, a wąski skrawek nieba między nimi poprzecinany był kładkami z blachy falistej, hakami, łańcuchami i platformami rozładunkowymi. Sto lat temu ulica Bayly musiała tętnić życiem, ale teraz po asfalcie walały się powyginane puszki po coli i pooblupywane dachówki, a z opustoszałych budynków sterczały pęki kolorowych kabli.

Rozglądając się, zauważyłem inną tabliczkę: na jaskrawym czerwonym tle biały napis MCALPINE. Dla ulicy Bayly oznaczało to wyrok śmierci. Nie ma nic bardziej destrukcyjnego od firmy budowlanej. Stare magazyny zostaną wybebeszone, a w pustej skorupie wybuduje się modne apartamenty z widokiem na rzekę, podziemnym garażem i pięciocyfrową ceną. Taki już jest współczesny Londyn. Bogaci mogą mieć tu wszystko.

Przy samochodzie stał mężczyzna i celował do mnie z pistoletu z tłumikiem. Nazwa tłumika pochodzi zapewne od tego, że pomaga kogoś zastrzelić w tłumie i nikt tego nie zauważy. Oczywiście w tej okolicy nie było żadnego tłumy, tylko tłumik, pistolet i facet, który go trzymał. Mężczyzna mógł być gangsterem, ale ubierał się u dobrego krawca. Miał na sobie jasnoszary garnitur i starannie dopasowany różowy krawat. Jego wypolerowane buty błyszczały podobnie jak zęby, które szczyrzył w szerokim uśmiechu. Po chwili z samochodu wysiadł drugi mężczyzna. Był ubrany w taki sam garnitur jak kolega, tyle że krawat miał błękitny. Obaj byli szczupli i niscy. Obaj czesali się z przedziałką pośrodku, z tym, że jeden był blondynem, a drugi brunetem. Obaj dobijali pięćdziesiątki i wydali sporo forsy, żeby nie było tego widać. Ich sztuczne niczym maski twarze zostały przemodelowane przez chirurga plastycznego. Znać ten typ: odessij sobie tłuszczu wyprasuj zmarszczki, odetnij zbędną skórę i będziesz znowu młody, tylko postaraj się zbyt żywiołowo nie kichać.

- Tędy - oznajmił blondas, pokazując lufą drogę.

- Gangsterzy przodem - odrzekłem uprzejmie.

- Niestety nie.

Na budowie obok musieli pracować jeszcze jacyś robotnicy. Słyszałem w oddali walenie młota pneumatycznego i koparkę. Zastanawiałem się nad ucieczką w tamtą stronę, ale nie miałem okazji. Nie było nikogo, kto mógłby nas widzieć, więc pewnie zastrzeliliby mnie, zanim przebiegłbym pierwsze pięć metrów. Brunet podszedł do ciężkich drewnianych drzwi i otworzył kłódkę wielkości orzecha kokosowego. Zostałem wprowadzony do pomieszczenia, które wyglądało jak opuszczony garaż: betonowa podłoga, wypalone ściany, a wszędzie gruz i śmiecie. Przez moment myślałem, że to już koniec, że to mój ostatni życiowy przystanek, ale w rogu były schody i blondas popchnął mnie w ich stronę. Wdrapaliśmy się na trzecie piętro. Każda kondygnacja wyglądała tak samo - wszędzie gruz i zniszczenie, lecz

potem doszliśmy do następnych drzwi i następnej kłódki i okazało się, że czwarte piętro wygląda zupełnie inaczej.

Znalazłem się w pomieszczeniu wielkości kortu tenisowego, pośrodku którego stał wielki fortepian koncertowy. Okna były duże i przypominały raczej szklane drzwi, tyle że po ich otwarciu nie można było nigdzie wyjść. Na podłodze leżał szary dywan, do którego dopasowano szare jedwabne zasłony. Po prawej stronie, wokół stolika z marmurowym blatem stały dwa fotele i sofa ze srebrzystymi obiciami. Przy jednej ze ścian zaaranżowano kuchnię z elektryczną kuchenką, szafeczkami i kontuarem wypełnionym spodeczkami i filiżankami do herbaty.

Brunet poszedł do kuchni, a blondas poprowadził mnie do sofy.

- Kim jesteście? - zapytałem, chociaż już się domyślałem, jaka będzie odpowiedź.

- Ja jestem William - powiedział blondyn. - A tamten to Eryk - dodał, pokazując ręką w kierunku kuchni.

- Gott i Himmell - wymamrotałem. - Dwaj niemieccy chłopcy z Eaton.

Teraz znałem już wszystkie osoby, o których mówił Snape.

- Pomyśleliśmy, że już czas, żebyśmy zaprosili cię na herbatkę - powiedział Gott. - Mam nadzieję, że lubisz kruche ciasteczka.

Zagwizdał czajnik. Himmell przygotował herbatę i postawił na stoliku tacę z imbrykiem i filiżankami.

- Kto będzie robił za mamuszkę? - zapytałem.

Obaj unieśli brwi. Nie mogłem w to uwierzyć. Najbardziej zaufani ludzie Sokoła wyglądali równie groźnie, jak moje podstarzałe ciotki. Wtedy jednak przypomniałem sobie, że zabił ostatnio co najmniej dwie osoby, a przywożąc mnie tutaj, bynajmniej się nie patyczkowali. Ci faceci mogli wyglądać śmiesznie, ale zabijali na poważnie.

Himmell nalał herbaty do porcelanowych filiżanek ozdobionych różyczkami i swastykami, a potem podetknął mi pod nos talerz ciasteczek. Nie byłem specjalnie głodny, ale wyglądało na to, że Himmell sam je upiekł, a ja nie chciałem go urazić.

- Kto gra na fortepianie? - zapytałem. Uznałem, że uprzejma rozmowa dobrze nam wszystkim zrobi.

- Gramy obaj - odrzekł Gott. - A ty, przyjacielu, zaśpiewasz.

Himmell roześmiał się. Ja nie. Lepiej bawiłem się na lekcjach łaciny.

- Masz coś, czego chcemy - ciągnął Gott. - Pozwól, że ci wytłumaczę, Nicholasie... Jeżeli mogę tak do ciebie mówić? To naprawdę czarujące imię.

Ugryzłem kruche ciasteczko. Smakowało jak ciasteczko i było kruche.

- Śledziliśmy karła tego dnia, kiedy przyszedł do waszego biura. Nie wiedzieliśmy, co ze sobą miał, więc jeszcze tego samego wieczoru przeszukaliśmy wasze mieszkanie, ale niestety niczego nie znaleźliśmy. Wtedy natknęliśmy się na Lauren Bacardi.

- Ona tutaj jest? - spytałem.

- Wkrótce się z nią zobaczysz. Powiedziała nam o maltankach. To doprawdy... niezwykle. Wobec tego pozwoliliśmy sobie odwiedzić wasze mieszkanie po raz drugi. W dzień pogrzebu Sokoła. Byliśmy pewni, że tym razem uda nam się zabrać czekoladki, lecz kiedy się włamaliśmy, zostaliśmy niemiło zaskoczeni. Może zechcesz wytłumaczyć nam, kim był ten dżentelmen, którego u was zastaliśmy?

- Nazywał się Lawrence - powiedziałem. - Był szoferem Grubasa. Też szukał maltanek.

- Cóż za nieszczęśliwy zbieg okoliczności - westchnął z politowaniem Gott. - Wypowiedział pod naszym adresem kilka krzywdzących słów. Więc Eryk też go skrzywdził. Zabił go, ściśle mówiąc. Muszę ci to powiedzieć, Nicholasie; Eryk jest uroczym człowiekiem. Po prostu uroczym. Ale czasami miewa humory. A kiedy ma humory, strzela do ludzi.

Uśmiechnąłem się do Himmella.

- Bardzo smaczne ciasteczka - powiedziałem.

- Nadal chcemy dostać te czekoladki - oznajmił Gott. - Wiemy, że twój brat jest w więzieniu. I wiemy, że wiesz, gdzie jest pudełko. Więc albo nam powiesz o tym teraz, albo...

- Albo co, panie Gott? - zapytałem.

- To byłaby prawdziwa strata - odparł. - Jesteś bardzo miłym chłopcem. Doprawdy słodkim. Ile masz lat?

- Trzynaście.

- Tak, jesteś stanowczo za młody, by skończyć w plastikowej torbie z sześcioma kulami w brzuchu. Jeszcze herbatki?

Himmell napęłnił moją filiżankę. Chyba nie mówił po angielsku tak biegle, jak jego kompan. Obaj wciąż się do mnie uśmiechali i zacząłem się zastanawiać, czy po liftingu mogli w ogóle robić inne miny. Gott dopił herbatę i mlasnął.

- Dziękuję - powiedział. - Naprawdę robisz wyśmienitą herbatę, Eryku.

- Dolać ci?

- *Nein, danke.*

Gott znowu zwrócił się do mnie.

- To gdzie są maltanki? - zapytał.

No cóż, chętnie powiedziałbym im, gdzie są czekoladki, gdybym miał pewność, że wtedy pozwolą mi odejść. Ale jakoś trudno mi było w to uwierzyć. Gdy tylko dostaną to, na czym im zależy, nie będą mnie już do niczego potrzebować i skończę w plastikowej torbie nadziany śrutem. Gdybym jednak zyskał trochę na czasie, może udało by mi się z tego wszystkiego wykaraskać.

Odkaszlnąłem.

- Cóż, to trochę skomplikowane...

Twarz Himmella oklapła. Nadal się uśmiechał, ale nos i podbródek opadły mu dobry centymetr albo dwa.

- To znaczy, rzeczywiście je mam. Ale są na dworcu Wiktorii. W skrytce bagażowej. Tylko że klucz do niej ma Herbert, nie ja.

- Jaki numer ma ta skrytka?

- Eee... sto osiemdziesiąt! - Od początku wszystko zmyślałem, numer wyśpiewałem jak sprawozdawca z zan wodów w rzutkach.

- Na dworcu Wiktorii, mówisz?

- Tak. Ale nie możecie jej otworzyć. Uniósł pistolet.

- Myślę, że możemy.

Gott wstał, podszedł do fortepianu i usiadł na stołku. Zatarł dłonie, a następnie rozpostarł palce nad klawiszami.

- Dziękuję za herbatę - oznajmiłem, wstając. - Jeżeli tylko tego chcieliście się dowiedzieć...

- Nigdzie nie pójdziesz. - Gott zagrał pierwszy akord. - Eryku!

Tymczasem Eryk zdawał się pracować na akord. Zniknął, a chwilę później pojawił się, trzymając w dłoni zwiniętą linkę. Gott rozkoszował się grą, a Himmell mnie wiązał. Zrobił to bardzo profesjonalnie. Moje ręce znalazły się za plecami, gdzie zostały przymocowane do moich stóp. Kiedy skończył, nie mogłem nawet podrygiwać w rytm muzyki i czułem, jak drętwieją mi palce. Gott zakończył swój mały recital i wstał.

- Cóż, Nicholasie - powiedział. - Wybieramy się na dworzec. - Zerknął na zegarek. - Wrócimy około piątej. Jeżeli okaże się, że kłamałeś, około piątej trzydzieści będziesz gryzł muł na dnie Tamizy.

Próbowałem wzruszyć ramionami. Bez skutku.

- Jeżeli tego nauczyli was w Eaton, to cieszę się, że chodzę do szkoły publicznej.

- Zabierz go do drugiego pokoju - uciał Gott. - Czas, aby poznał naszego drugiego gościa.

Himmell wziął mnie na ręce i zaniósł na drugi koniec pomieszczenia. Nie jestem ciężki, ale okazał się silniejszy, niż sądziłem. Stał przed drzwiami i jedną ręką otworzył zamknięte na zasuwkę drzwi.

- Kiedy mnie stąd wypuścicie? - dopytywał się głos, który wydał mi się znajomy.

Himmell rzucił mnie na podłogę. Naprzeciwko siedziała związana Lauren Bacardi.

- Masz towarzystwo - oznajmił Gott, po czym zamknął drzwi. Minutę później usłyszałem, jak Niemcy wychodzą. Zastanawiałem się, czy znajdą skrytkę 180. Zastanawiałem się, czy istnieje w ogóle skrytka numer 180. Wiedziałem tylko, że do piątej muszę się stąd wydostać. Kupiłem sobie trochę czasu, lecz wcale nie zamierzałem za to płacić własną głową.

Spojrzałem na Lauren.

- Cześć - przywitałem się.

- Znam cię - powiedziała.

- Tak. Jestem Nick Diament. Poznaliśmy się w klubie Casablanca, pamiętasz?

Pokiwała głową.

- Pamiętam. Wielkie dzięki, Nick. Nieźle sobie żyłam, dopóki się nie pojawiłeś.

Wciąż była ubrana w połyskującą kieckę, którą miała na sobie, kiedy występowała na scenie, ale brakowało sztucznej biżuterii i makijażu. Teraz wyglądała znacznie lepiej. Siedziała oparta plecami o ścianę z podciągniętymi do góry kolanami, a obok stał talerz i kubek. W pokoju nie było żadnych mebli. Właściwie trudno było nazwać to pomieszczenie pokojem, czułem się raczej jak zamknięty w średniej wielkości kredensie. W jednej ze ścian, wysoko nad moją głową znajdowało się niewielkie okno. Z żalem stwierdziłem, że nie uda mi się tam wdrapać. Zresztą i tak byłem związany i ledwo mogłem się ruszyć. Przyjrzałem się linie.

W filmach zawsze przy takiej okazji pojawia się kawałek szkła albo coś innego, czym można przeciąć więzy, ale zdaje się, że trafiłem do złego filmu. Podałem się.

- Przykro mi z powodu tego wszystkiego - powiedziałem. - Ale to nic ja ich do ciebie przyprowadziłem.

- Nie? To w takim razie, kto?

To było dobre pytanie. W jaki sposób trafili na jej ślad? Nie miałem pojęcia.

- Powiedziałas im o czekoladkach? - zapytałem. Westchnęła.

- A co niby miałam robić? Myślisz, że inaczej nadal bym żyła?

- Ciesz się tym, póki możesz - zauważyłem. - Himmell i Gott wrócą o piątej i na pewno nie będą w dobrym humorze. Nabrałem ich. Po powrocie będą się chcieli za to odwdziżyć. I to z nawiązką.

- W takim razie musimy uciekać.

- Jasne. Jeżeli uda mi się do ciebie podpełznąć, możesz spróbować przegryźć moje więzy i...

Nie dokończyłem. Lauren Bacardi zaczęła się wiercić, a po chwili liny opadły z niej jak przegotowane spaghetti. To było nieprawdopodobne. Też spróbowałem, ale kiedy ona wstała i zdjęła z siebie ostatnią pętlę, ja nadal leżałem związany jak prosiak.

- Niezły numer - powiedziałem. - Jak to zrobiłaś?

- Zanim zostałam piosenkarką, pracowałam w kabarecie - oznajmiła. - Byłam asystentką sztukmistrza... Harry'ego Blondiniego. Specjalizował się w sztuczках z linami. Dwa i pół roku spędziłam owinięta sznurem. Harry uwielbiał liny. Chodził spać w kajdankach i był jedynym znanym mi facetem, który brał prysznic, wisząc do góry nogami. Nauczył mnie wszystkiego.

Uklękła i uwolniła mnie z pęt.

- Dlaczego wcześniej nie uciekałaś? - zapytałem.

Ona była za duża, ale ja nie. Podsadziła mnie i okazało się, że mogę się przez nie precisnąć. Gott i Himmell nie wysilili się, żeby je zamknąć. Po co zresztą mieliby to robić? Kiedy nas zostawiali, byliśmy związani, a poza tym okno znajdowało się cztery kondygnacje nad ziemią. Wychyliłem się na zewnątrz. Zerknąłem w górę. Dach był z całą pewnością za wysoko i nigdy nie uda mi się tam wdrapać. Spojrzałem w dół. Po drugiej stronie ulicy dostrzegłem pracujących na budowie robotników. Krzyknąłem, żeby zwrócić ich uwagę, ale byli za daleko, a poza tym robili zbyt dużo hałasu swoimi narzędziami.

Jakieś trzy metry na lewo zobaczyłem wielkie okna do salonu Himmella i Gotta. Gdyby udało mi się przez nie wejść, otworzyłbym zasuwkę i uwolnił Lauren. W ten sposób oboje moglibyśmy poważnie pomyśleć o ucieczce. Tylko że okna były za daleko i nie mogłem się do nich dostać, chyba że...

Znajdowaliśmy przecież się w magazynie i jak w przypadku wielu innych magazynów z jego ściany sterczał metalowy wysięgnik zakończony hakiem. Traf chciał, że wysięgnik znajdował się dokładnie w połowie drogi między oknem naszej kanciapy a wielkimi szklanymi oknami salonu. W dawnych czasach używano pewnie tego haka do transportowania za pomocą liny rozmaitych ładunków. Teraz oczywiście liny nie było, lecz czego jak czego, ale lin nam akurat nie brakowało.

Wcisnąłem się z powrotem do środka.

- Nic z tego, co? - mruknęła Lauren.

- Niekoniecznie. Wy tłumaczyłem jej swój plan.

- Zupełnie ci odbiło - zawyrokowała. - Nie uda ci się.

- Muszę spróbować - odparłem. - Nie mamy innego wyjścia.

Po dziesięciu minutach znowu wisiałem wychylony przez okno, ale tym razem byłem obwiązany sznurem. Związaliśmy obie liny, którymi nas skrepowano, i w ten sposób uzyskaliśmy mocny sznur długości około czterech metrów. Na końcu zawiązaliśmy pętlę. Teraz pozostało ją tylko zarzucić na hak. Udało mi się tego dokonać przy czwartej próbie.

Oto więc wychylałem się przez okno z jednym końcem liny obwiazanym wokół pasa, a drugim przyczepionym do haka. Pamiętajcie ten trójkąt równoramienny, o którym wspominałem? Więc wyobraźcie sobie, że hak jest wierzchołkiem tego trójkąta, ja siedzę w jednym z kątów u jego podstawy, a szklane drzwi stanowią trzeci kąt. Teraz muszę tylko skoczyć, a lina niczym wahadło przetransportuje mnie na drugą stronę. Przynajmniej taki był plan.

Nie bardzo mi się ten plan podobał, a właściwie - wcale. Ale czas uciekał i nie było żadnego innego wyjścia. Skoczyłem.

Leciałem przez chwilę, szorując barkiem o cegły. Potem udało mi się chwycić krawędzi okna i podciągnąć na parapet. Przykucnąłem na nim, z całej siły powstrzymując się od spojżenia w dół, a serce tłukło mi się o żebra jak tenisowa piłeczka.

Odetchnąłem i uspokoiłem się trochę. Parapet miał najwyżej dwadzieścia centymetrów szerokości, a ja przywarłem z całej siły do szyby. Bez spoglądania w dół zdjąłem but. Uniosłem go ostrożnie. Było zimno, ale po moich plecach spływały strugi potu. Starąłem się nie spuszczać wzroku z fortepianu po drugiej stronie okna. Patrzenie na instrument sprawiało, że zapominałem, gdzie jestem i co robię. Chwyliłem mocno but i przywaliłem obcasem w szybę. Rozbiła się. Wrzuciłem but do środka, a potem ostrożnie wsunąłem rękę, znalazłem klamkę i otworzyłem okno. Z westchnieniem ulgi wszedłem do środka, odwiązałem się i wciągnąłem całą linę do pokoju.

Nie zaszedłem na razie zbyt daleko, ale przynajmniej nadal żyłem.

Himmell i Gott pozostawili na stole naczynia po herbacie. Włożyłem but, podszedłem do stolika i napiłem się mleka z dzbanuszka. Potem podszedłem do drzwi i otworzyłem zasuwkę.

Lauren uniosła brew, kiedy mnie zobaczyła.

- Więc jednak ci się udało? - powiedziała.

- No - odparłem z dumą. Powiedziałbym więcej, ale dzwoniłem zębami. Na zewnątrz musiało być zimniej, niż mi się wydawało.

Lauren próbowała otworzyć drzwi, które prowadziły na schody. Były zamknięte, więc nie wiedząc, co dalej robić, podeszła do okna i wyjrzała.

- Świetnie, Nick - burknęła. - Wyleźliśmy z kanciapy, ale nie możemy się wydostać z salonu. W pobliżu nie ma nikogo, kto mógłby nas usłyszeć. Wysłałeś naszych niemieckich przyjaciół na bezcelowy spacer po mieście, a teraz oni wrócą, zwiążą cię i użyją jako tarczy strzelniczej. Nie mamy ani dostatecznie długiej liny, żeby się po niej spuścić na dół, ani żadnej broni.

- Zgadza się - powiedziałem.

- Więc lepiej szybko coś wymyśl, kolego, bo oni już wracają - zauważyła, wciąż wyglądając przez okno.

Ostatni akord

Podbiegłem do okna. Lauren miała rację. Niebieska pół-ciężarówka dojeżdżała już do ulicy Bayly. Gdyby nie wywrotka z budowy, która zatarasowała przejazd, Himmell i Gott już byliby na miejscu. Póki co, droga była całkowicie zablokowana, a jakiś facet w żółtym kasku próbował pomóc kierowcy wyjechać. Na szczęście wymagało to dość skomplikowanego manewru. Himmell i Gott mogli tam tkwić jeszcze dobre parę minut. Jak udało im się przyjechać z dworca tak szybko? Odtworzyłem w głowie ostatnie wydarzenia i zdałem sobie sprawę, że moja wielka ucieczka najprawdopodobniej trwała całą godzinę. Niesamowite, jak szybko płynie czas, gdy się dobrze bawisz.

Lauren poszła do kuchni i zajęła się przetrząsaniem szuflad i szafeczek.

- Co robisz? - zapytałem.

- Szukam noża. Uniosła trzepaczkę.

- Tylko to udało mi się znaleźć.

- Oni mają pistolety - przypomniałem jej. - Z samą trzepaczką daleko nie zajdziemy.

- Wiem, wiem. - Rzuciła trzepaczkę przez ramię. - To co możemy zrobić?

Co mogliśmy zrobić? Gdybyśmy zaczęli wzywać pomocy, jedynymi ludźmi, którzy by nas usłyszeli, byliby Gott i Himmell. Z hałasem na budowie nie mogliśmy liczyć na nic lepszego. Nawet gdyby udało nam się znaleźć nóż, trudno by było nim walczyć przeciwko opryszkom z pistoletami. Nie było jak uciekać, a Gott i Himmell mieli tu być lada chwila. Wyjrzałem przez okno. Ciężarówka stała w poprzek ulicy. Facet w żółtym kasku wydawał

nerwowe instrukcje, machając rękami, jakby odganiał niewidzialne muchy. Usłyszałem, jak ciężarówka rusza, a potem zobaczyłem, że zaczyna się cofać. Wkrótce droga będzie przejezdna i nadjedzie niebieska półciężarówka z naszymi przyszłymi mordercami. Podjedzie prosto pod nasze okno. Usiłowałem sobie przypomnieć, gdzie zaparkowali, kiedy mnie tu przywieźli. Wtedy stanęli dokładnie przed drzwiami. Czy teraz też tam zaparkują? Być może.

- Lauren - powiedziałem.

- Tak? - Znalazła korkociąg i łopatkę do tortu.

- Szybko...

Jak mówiłem, okno, przez które się włamałem, było właściwie jak drzwi i kończyło się na wysokości podłogi. Znowu wyjrzałem na zewnątrz. Ciężarówka już prawie zjechała z jezdni.

- Fortepian - powiedziałem.

- Fortepian?

- Szybko!

- Nick, to nie czas na koncert.

- Nie o to mi chodzi.

Podbiegłem do fortepianu i zacząłem go pchać. Był na kółkach, co trochę pomagało, ale musiał ważyć chyba z tonę. To był bechstein, wielkie czarne bydlę na trzech nóżkach i z białym, szerokim uśmiechem. Bóg raczy wiedzieć, ile musiał kosztować, ale jeśli czegoś takiego potrzebuje do pracy pianista, to może lepiej od razu zdecydować się na grę na tamburynie. Lauren stała jak wryta, rozdziawiając szeroko usta.

- Kotku - powiedziała - chyba nie myślisz o tym poważnie.

- Śmiertelnie poważnie - odparłem.

- Rzeczywiście, „śmiertelnie” to dobre słowo - zgodziła się.

Podeszła i zaczęła pchać razem ze mną. Teraz fortepian przesuwiał się łatwiej i szybciej. Centymetr po centymetrze zbliżaliśmy się do okna. Będzie to wymagało precyzji, ale fortepian zmieści się we framudze. Uświadomiłem sobie, że pewnie tą samą drogą dostał się na górę. Ile czasu mogło to wtedy zająć? Droga powrotna na pewno będzie krótsza.

- Gotowa? - zapytałem. - Tak.

Wyjrzałem przez okno. Ciężarówka właśnie odjeżdżała, a niebieska półciężarówka sunęła szybko w naszą stronę. Przygotowałem się do ostatniego pchnięcia. Na fortepianie stało popiersie Beethovena, który marszczył brwi, jakby wiedział, co chcemy zrobić. Auto było już prawie na miejscu, zaczęło zwalniać, przygotowując się do parkowania.

Pchaliśmy ze wszystkich sił. Fortepian wyskoczył do przodu. Jego tylna noga przejechała po parapecie, a potem zawisała w powietrzu. Półciężarówka była już prawie dokładnie pod nami. Znowu pchnąłem instrument. Fortepian stawiał opór, ale po chwili z ulgą poczułem, jak zaczyna się przechylać. Mogę wam teraz powiedzieć, że fortepianów nie buduje się z myślą o aerodynamice. To był dziwny widok: wielka czarna bestia z trzema sztywnymi nóżkami i bez skrzydeł, lecąca w dół. Mknęła tak nie więcej niż dwie sekundy, a potem roztrzaskała się o samochód Niemców.

To był ostatni akord bechsteina, ale trzeba przyznać, że godny zapamiętania. Jeżeli potraficie sobie wyobrazić wysadzenie w powietrze orkiestry, która jest właśnie w środku *V Symfonii* Beethovena, to wiecie mniej więcej, jak to brzmiało. To była eksplozja muzyki - albo muzyka eksplozji. Brzdęk, bum, dzyń - wszystko za jednym razem i stokrotnie pogłośnione. Nawet robotnicy na budowie to usłyszeli. Wątpię, żeby ktokolwiek w Londynie tego nie słyszał.

To był ostatni akord bechsteina i jakoś nie wydawało mi się, że półciężarówka będzie mogła dokądkolwiek po tym wszystkim podróżować. Nie została całkowicie zmiażdżona, ale z chłodnicy buchała para, a dwa koła obracały się jak wielkie gigantyczne monety. Na chodniku widniała czarna plama benzyny. Rura wydechowa wystrzeliła jak rakietka i leżała teraz czterdzieści metrów od pojazdu.

Powyginana karoseria obsypana była drzazgami i drucianymi strunami. Jedna z nóg fortepianu utkwiała w przedniej szybie. Wołałem nie myśleć, co się stało z kierowcą.

- Nieźle, kochanie! - wykrzyknęła Lauren.

- Koncert na samochód i fortepian - mruknąłem pod nosem.

Nagle na dole zaroilo się od biegnących ludzi. Ulica Bayly zaczęła wyglądać jak Piccadilly Circus. Biegli z prawa, biegli z lewa, zbiegali się ze wszystkich stron. Patrzyli na wrak auta, a potem spoglądali w górę. Wychyliłem się przez okno i zamachałem.

Po dwudziestu minutach do salonu wszedł jeden z budowlańców. Miał ze sobą nożyce hydrauliczne, którymi musiał rozciąć kłódki. Lauren i ja siedzieliśmy na kanapie i czekaliśmy na niego.

- Ten fortepian... - wydusił robotnik, sapiąc. - Był wasz?

- Jasne - powiedziałem. - Ale proszę się nie przejmować. I tak nie umiałem na nim grać.

Wyszliśmy, a on jeszcze długo stał jak wryty na środku salonu. Czego jeszcze chciał? Czekał na bis?

*

Udało nam się zniknąć w tłumie i uciec, ale przedtem dosłyszałem, że - jakimś cudem - nikt nie zginął.

Oczywiście kierowca utknął za kierownicą i trzeba było rozcinać pojazd, żeby się do niego dostać, a pasażer nadział się na drążek zmiany biegów. Lekarz zdążył już przyjechać, ale Gott i Himmell potrzebowali głównie mechanika i strażaków. Pojechaliśmy taksówką do domu, skąd wziąłem prawdziwe maltanki, a potem udaliśmy się prosto do mieszkania Lauren. Na Fulham poszukiwało mnie stanowczo zbyt wielu ludzi. Od tej chwili musiałem podnosić kołnierz płaszcza i nie wystawiać znowu głowy. Lauren mieszkała w bloku na Baron's Court - jakieś dziesięć minut jazdy od mojego domu. Był to jeden z tych wielkich ceglanych budynków z pięćdziesięcioma przyciskami na domofonie i pięćdziesięcioma rodzinami, które się nie znają. Lauren zajmowała mieszkanie na parterze. Właściwie była to suterena, bo podłoga musiała znajdować się nie więcej niż dziesięć centymetrów ponad poziomem przebiegającego nieopodal tunelu metra. Ilekroć przejeżdżał pociąg, podłoga trzęsła się i burczała. A może to był po prostu mój żołądek? Od dwudziestu czterech godzin prawie nic nie jadłem i byłem głodny jak wilk.

Lauren zostawiła mnie w dużym pokoju i poszła do kuchni przygotować kolację. Duży pokój nie był co prawda imponujących rozmiarów, ale wydawał się miły. Miał gazowy piecyk, na podłodze stał czajnik, a tu i tam walały się różne części kobiecej garderoby. Meble były stare i zniszczone, a kanapa wyglądała tak, jakby miała zamiar kogoś połknąć.

Ściany pooblepiane były plakatami z teatrów i kabaretów, w których Lauren występowała albo jako piosenkarka, albo jako asystentka sztukmistrza. Mówiąc w skrócie, był to pokój z przeszłością, ale bez przyszłości. Pokój, w którym gromadziły się śmiecie i blakły wspomnienia.

Kiedy wróciła z kuchni, była już przebrana w inną sukienkę, a włosy miała zaczesane do tyłu. Jak na kobietę w wieku mojej babki wyglądała całkiem nieźle. Ale żeby to docenić, trzeba było znać moją babkę. Jedzenie, które przyniosła, wyglądało wspaniale. Na tacy było wszystko: omlety, sałatka, ser, owoce, butelka czerwonego wina dla niej i puszka coli dla mnie. Niewiele rozmawialiśmy podczas jedzenia. Po prostu cieszyliśmy się, że jesteśmy bezpieczni. I żywi.

- Dzięki - powiedziałem, kiedy pożarłem omlet.

- To ja ci powinnam podziękować, Nick - powiedziała Lauren, dolewając sobie wina. - Gdyby nie ty... kurczę, zabiliby mnie.

- Ale to ty poradziłaś sobie z linami - przypomniałem jej.

Zerknąłem na plakat obok piecyka. Przedstawiał Lauren i przystojniaka ubranego w obszuty cekinami kaftan bezpieczeństwa. Facet miał zaczesane do tyłu, ciemne, pokryte brylantyną włosy, wąsik i uśmiech jak z reklamy pasty do zębów.

- Czy to Harry Blondini? - spytałem.

- Tak.

Wstała i włączyła magnetofon. Z głośnika popłynęła solówka na saksofonie. Zapaliła papierosa, a smużka dymu zaczęła się wić i tańczyć w rytm muzyki. Jej oczy powiedziały mi wszystko, co powinienem wiedzieć o Harrym Blondinim. Ale i tak mi powiedziała.

- Kochałam go. Przez dwa lata pracowaliśmy razem w teatrze, a mieszkaliśmy ze sobą przez pięć. Mieliśmy się pobrać. Ale w ostatniej chwili Harry uciekł z zaklinaczką węży. Co ona takiego miała, czego mnie brakowało? Oprócz dwóch anakond i węża boa, ma się rozumieć. To było dzień przed naszym ślubem, kiedy to mieliśmy się związać węzłem małżeńskim. - Uśmiechnęła się smutno.

- Cóż, chyba powinnam była to przewidzieć, przecież Harry specjalizował się w rozwiązywaniu więzów. Więc uciekł. I złamał mi serce. I wtedy zaczęłam śpiewać. Śpiewam już od dwudziestu lat, Nick. Te same stare piosenki. I od tamtej pory spotkałam tylko dwóch porządnych ludzi: Johnny'ego Neapola i ciebie. Fajny z ciebie chłopak, Nick. Gdybym miała syna, chciałabym, żeby był taki jak ty. A przez całe życie chciałam tylko mieć własny dom. Może w jakimś słonecznym miejscu, na przykład na południu Francji. Spójrz tylko na tę norę! Mieszkam dziesięć metrów pod ziemią, nigdy nie widuję słońca. W klubie Casablanca to samo. W trumnie będę chyba bliżej słońca niż za - życia. Świat jest okropny. Po prostu okropny, Nick...

Może wypłała za dużo wina? Nie wiem. Zadałem jej proste pytanie, a ona opowiedziała mi całe swoje życie. Szczęście, że nie spytałem o coś bardziej skomplikowanego. Mogłoby się skończyć na całonocnym wykładzie, a nie wytrzymałbym tego za wszystkie diamenty świata. Byłem zmęczony i brudny.

- Chyba wezmę kąpiel - powiedziałem.

- Ze wszystkich łazienek na świecie musiałeś trafić właśnie na moją, biedaku. Nie ma ciepłej wody.

- W takim razie po prostu się przekimam.

- Możesz spać na kanapie.

Zaniosłem tacę z naczyniami do kuchni, a Lauren w tym czasie wyjęła dla mnie dwa koce. Już powiedziała mi „dobranoc” i miała wyjść, kiedy przypomniało mi się, że nie zadałem jej jeszcze jedynego pytania, na które naprawdę chciałem usłyszeć odpowiedź.

- Lauren - zagailem - wtedy w klubie Casablanca... chciałaś mi coś powiedzieć. Zaczęłaś mówić, że byliście z Johnnym na mieście, kiedy on coś zobaczył. I to sprawiło, że zrozumiał, co znaczą maltanki i wszystko inne.

- Zgadza się.

- Więc... gdzie wtedy byliście? Przystanęła w drzwiach.

- Kupowaliśmy kielbaski - powiedziała. - Na Oxford Street. W Selfridges. W dziale z żywnością.

Sklep Selfridges

Nie przepadam za Oxford Street nawet w dobry dzionek, a muszę wam powiedzieć, że dwudziesty czwarty grudnia bynajmniej do dobrych dni nie należy. Stacja metra zamieniła się w czarną dziurę i oboje z Lauren byliśmy szczęśliwi, że udało nam się z niej wydostać. Ale na zewnątrz nie było wiele lepiej. Świąteczne zakupy przybrały rozmiary świątecznej paniki i nagle wszyscy zapomnieli o dobrych manierach. Taksówkarze walili pięściami w klaksony, a kierowcy autobusów wystawiali głowy przez okna i przeklinali jak szewcy. Trudno im się dziwić. Ruch uliczny, wbrew swojej nazwie, ani drgnął, a korek, który powstał, trwał co najmniej od dwóch dni. Po chodnikach sunął tłum przechodniów, którzy taszczyli siatki wypchane jedzeniem, bombkami, lampkami, anielskim włosiem i kupowanymi w ostatniej chwili prezentami. Westchnąłem. Herbert ciągle tkwił w więzieniu.

Był tam już prawie od tygodnia. Wyglądało na to, że w tym roku moje święta ograniczą się do wysłuchania przemówienia królowej i skonsumowania dwóch mrożonych krokietów z farszem z indyka.

Weszliśmy do Selfridges. Uderzył nas odurzający zapach perfum. Znajdowaliśmy się w dziale z kosmetykami. Wśród otaczających nas białych kolumn, złotych zegarów i kolorowych reklam, gdzieś w dziale z żywnością Johnny Neapol zobaczył coś, co było dla niego warte trzy i pół miliona funtów. Na myśl o tym rozweseliłem się trochę. Zacisnąłem mocno pożyczony mi przez Lauren plecak, w którym schowałem pudełko czekoladek.

- Chciałby pan spróbować tego zapachu? - zapytała mnie ładniutka dziewczyna, wychylając się zza kontuaru z butelką wody po goleniu w ręku. Miała miłą buzię, ale pośpieszyła się o kilka lat.

Było gorąco. Urządzenia klimatyzacyjne wsysały, przeżuwały, a potem wypluwały powietrze, które śmierdziało jak nieświeży oddech. Weszliśmy do działu z męską odzieżą, podążając za znakiem Żywność.

- Zapraszamy na spotkanie ze Świętym Mikołajem na trzecim piętrze w magicznej grocie - przemówił głos z niewidocznego głośnika nad naszymi głowami. - Posłuchaj swoich ulubionych kolęd na trzecim piętrze. Już otwarte.

Dział z żywnością okazał się jeszcze gorszy od działu kosmetyków i męskiej odzieży. Wyglądał, jakby właśnie ogłoszono początek wojny atomowej. Z półek w ekspresowym tempie znikwały towary, obsługa dwoiła się i troiła, próbując zaspokoić zachcianki podenerwowanych klientów. Poczulem, że Lauren obejmuje mnie ramieniem.

- Tędy - powiedziała.

- Spokojnie, jestem z tobą - zapewniłem, ale okazało się, że nie było to takie łatwe. Poniosła mnie rzeka konsumpcji, a potem zacząłem tonąć w jeziorze rozgorączkowanych klientów.

- Jeżeli się rozdzielimy, możemy się spotkać przed Marksem i Spencerem - powiedziała Lauren. - To dokładnie po drugiej stronie ulicy.

Przecisnęliśmy się do środka działu z żywnością, który wyglądał tak jak każdy inny dział zjedzeniem w supermarkecie. Na oddzielnych stoiskach leżały owoce, kanapki i ciasteczka, ale większość ludzi je ignorowała. Stoisko z mięsem i wędlinami znajdowało się z tyłu, a nad nim z sufitu zwieszał się duży ekran ze świecącym numerem. Co kilka sekund rozbrzmiewało głośnie bzyczenie i numer się zmieniał. „Teraz obsługujemy 1108” wyświetlała tablica, kiedy zbliżyliśmy się do stoiska. Znowu zabzyczało - i pojawił się numer 1109. Tłum zadzierających głowy gospodyń oblegał stanowisko, a każda ścisnęła w rękę karteczkę z numerem miejsca w kolejce.

A więc w Selfridges sprzedaje się kielbaski. Zauważyłem je za szklaną szybą lodówki. Wyglądały całkiem niezłe. Na pewno były bardzo smaczne, tyle że nie miałem pojęcia, co takiego mógł w nich zobaczyć Johnny Neapol. Co kielbaski mogły mieć wspólnego z Sokołem i diamentami?

- Lauren... - zacząłem.

- Stał... o tutaj - powiedziała. - Potem nagle się odwrócił i poszedł tędy - dodała, pokazując palcem przed siebie.

- To znaczy, że poszedł dalej prosto?

- Nie. Weszliśmy od tamtej strony. Więc właściwie się cofnął.

Poszedłem śladami niezwywego karła, które zaprowadziły mnie z powrotem do środkowej części sklepu. Minąłem orzeszki i znalazłem się w dziale z owocami, gdzie były śliwki i jabłka oraz, jak głosił napis: „brazylijskie loquaty po trzy i pół funta za kilogram”. Na pewno była to wyśmienita okazja, tyle że nie bardzo wiedziałem, co można zrobić z

loquatami. Dalej były już tylko czekolady i rząd sześciu kas, przy których siedziało sześć kasjerek w brązowych fartuchach i słomkowych kapeluszach. Pięć z nich wklepywało ceny, jakby pisały powieść w odcinkach. Szósta po prostu przesuwała towary przed szklanym ekranikiem, a ceny same wyskakiwały.

Nadal nie zauważyłem niczego, co mogłoby mnie oświecić. Przekonałem się tylko że, w Selfridges nie sprzedawano maltanek.

- To było tutaj - oznajmiła Lauren.

- Tutaj? Co? - zapytałem zniechęcony. Czuję się, jakbym zastępował Syzyfa we wtaczaniu pod górę wielkiego głazu.

- Tutaj na to wpadł - wyjaśniła Lauren. - Stał tu, gdzie ty. I nagle się uśmiechnął...

Rozejrzałem i nagle w ogóle przestało mi być do śmiechu. Naprzeciwko nas były drzwi prowadzące na ulicę. Właśnie weszło przez nie dwóch mężczyzn. Wydaje mi się, że zauważyłem ich parę sekund wcześniej, nim oni zobaczyli nas.

- Lauren - szepnąłem.

- Co?

Pokazałem ich ręką. Zmienili się od czasu naszego pierwszego spotkania, ale Gotta i Himmella rozpoznałbym wszędzie. Nadal mieli na sobie identyczne garnitury - tym razem bladozielone. Ale Himmell (blondas) miał lewe ramię w gipsie, a Gott podpierał się laską. Obaj byli tak oklejani plastrami, że ledwo było widać skórę, która przybrała niezdrowy siny kolor.

- Opowiedziałas im o kielbaskach - domyśliłem się.

- Oczywiście, że opowiedziałam - jęknęła Lauren. - Mieli mnie poczęstować następną porcją ciasteczek.

Opowiedziała im o kielbaskach, więc przyszli się rozejrzeć. A rozglądając się, zobaczyli nas.

- Spadamy! - rzuciłem.

Schylając głowy, daliśmy susa w lewo, pobieглиśmy po schodach w dół i znaleźliśmy się w dziale z alkoholami. Obejrzałem się przez ramię i zobaczyłem, jak Gott daje Himmellowi jakieś instrukcje. Chwilę później zderzyłem się z parą staruszek. Ze strasznym piskiem obie panie wpadły na stoisko z kandyzowanymi owocami. Nie zatrzymałem się, żeby je przeprosić. Dobre maniery to podstawa, mawiał mój tatuś, ale Gott i Himmell byli już niedaleko i miałem wszelkie dane, by podejrzewać, że nie obejdą się ze mną lepiej niż ja z biednymi staruszkami, które teraz wymachiwały w powietrzu nogami i darły się w niebogłosy.

- Którędy? - spytała Lauren.

Zatrzymałem się. Niedaleko było wyjście prowadzące na ulicę, ale blokował je co najmniej tuzin ludzi, przepychających się łokciami, by wdrzeć się do sklepu. Z czterech stron świata mogliśmy więc wybrać trzy.

- Chwileczkę, Lauren... - powiedziałem. Chciałem powiedzieć, że to właściwie śmieszne. Gott i Himmell mogli mieć nierówno pod sufitem, mogli nawet nie mieć piątej czy nawet czwartej klepki, ale w takim tłumie nie zrobią nam nic złego. Chciałem powiedzieć, że raczej poczekają na nas na zewnątrz. Chciałem powiedzieć, że...

Lecz właśnie w tej chwili za moim prawym uchem eksplodowała gablotka z zegarkami. Tak po prostu. Kawałki szkła rozsypały się jak noworoczne fajerwerki. Sprzedawczyni wrzasnęła. Obróciłem się na pięcie. Na szczycie schodów stał Gott. Trzymał w ręku pistolet. Z tłumikiem. I nikt z tłumu otaczających go ludzi niczego nie zauważył ani nie usłyszał. Wszyscy byli pochłonięci zakupami.

- Tędy! - krzyknąłem.

Lauren pobiegła w jedną stronę. Ja w drugą.

Nie zauważyła, gdzie pokazywałem palcem. Ruszyła korytarzem z powrotem do działu z męską odzieżą, a ja puściłem się w stronę ruchomych schodów. Nie było czasu na wahanie. I być może tak było najlepiej. Po rozdzieleniu się mieliśmy większe szanse.

- Miejsce spotkań klientów, którzy zgubili swoich towarzyszy, znajduje się na parterze... - wyrecytował głos z głośników. Lauren z pewnością mnie zgubiła. Lecz jeżeli nie uda mi się uciec Gottowi i Himmellowi, będziemy naprawdę zgubieni i spotkamy się dopiero w kostnicy.

Ruchome schody ruszały się raczej wolno. Nieprawdopodobnie wolno. A nie mogłem wbiec po nich na górę, bo zewsząd otaczał mnie tłum zakupowiczów. Przykucnąłem i obejrzałem się przez ramię, mając nadzieję, że Gott i Himmell stracili mnie z oczu. Gdzie tam. Gotta nie było, ale Himmell - i owszem. Właśnie przymierzał się do strzału. Tym razem chyba usłyszałem przytłumione „fuum”. Dokładnie nad moją głowę eksplodowała kwadratowa lampa z numerem 1. Wjechałem na piętro, minąłem stoisko z kapeluszami, skoczyłem na następne ruchome schody, a na drugim piętrze - na następne. Na trzecim piętrze, nie oglądając się za siebie, pobiegłem prosto do działu z odzieżą dziecięcą.

Zatrzymałem się, żeby złapać oddech. Tutaj na górze było mniej ludzi. W końcu kto oprócz bliskich krewnych kupuje dzieciom ubranka pod choinkę? Nie widziałem Himmella i zacząłem już myśleć, że go zgubiłem, kiedy nagle, nie dalej niż dziesięć centymetrów ode

mnie, plastikowy manekin runął na podłogę z dziurą w czole. Gott pobiegł za Lauren, Himmell ścigał mnie. Odwróciłem się i znowu zacząłem uciekać.

Nagle znów znalazłem się w tłumie klientów. Nie przeszkadzało mi to. Im więcej ludzi, tym weselej. Minęło kilka sekund, nim zdałem sobie sprawę, dokąd biegnę, a kiedy w końcu to do mnie dotarło, było już za późno. Zobaczyłem tabliczkę z napisem:

Do groty Świętego Mikołaja

Teraz przypomniał mi się głos z głośnika. Święty Mikołaj i moje ulubione kolędy. Przez chwilę miałem wątpliwości, czy nie wolałbym mimo wszystko spędzić popołudnia z Himmellem.

Dobiegłem do ludzi, którzy ustawili się w kolejce. Nie zamierzałem czekać na swoją kolej. Parę osób zaczęło protestować, kiedy je mijałem, ale większość z nich była z małymi dziećmi, więc raczej trudno im się było wyklócać. Pobiegłem dalej, minąłem jaskrawoczerwony parawan i znalazłem się w jasno oświetlonym korytarzu, który doprowadził mnie do pokoju z miejscami do parkowania dziecięcych wózków. Pośrodku za biurkiem stała kobieta uprzejmie dyrygująca tłumem. Zawołała na mnie, ale ją zignorowałem, zjechałem po rampie i wyrzniętem głową w ceglany mur. Na szczęście cegły okazały się tekturowe. Obejrzałem się za siebie w nadziei, że wreszcie zgubiłem Himmella. Ale gdzie tam! Stał już wśród dzieci zjedną ręką w gipsie, a drugą w kieszeni. Wiedziałem, co jest w tej kieszeni.

Dałem nura do groty. Wcale mi się to nie podobało, ale nie miałem wyboru.

Cała sala wypełniona była rozmawiającymi szeptem ludźmi, a z głośników leciały pastoralki. Dookoła porozstawiano szopki i modele ilustrujące poszczególne kolędy, zaludnione poruszającymi się sztywno postaciami. Nie dałem się nabrać. Osiołek wyglądał, jakby miał wzdęcie, Józef był anemicznie blady, a trzech królowie przechodzili atak konwulsji. Szedłem tak szybko, jak się dało, rozpychając się łokciami i depcząc innym po butach. Nikt nie narzekał. Prawie każdy trzymał na rękach dziecko, które bez przerwy zadawało głupkowate pytania. Nikt nie miał ochoty na kłótnie.

Ja zresztą też. Czuję się jak w potrzasku. Musiałem się stamtąd wydostać. Zobaczyłem jedno wyjście, ale przed nim stał ochroniarz. Przeszedłem w drugi kąt sali i przystanąłem przy gapiących się w nocne niebo pasterzach.

Rozejrzałem się. Nie dostrzegłem Himmella. Być może czekał na mnie na zewnątrz. Niektóre bachory bardziej interesowały się mną niż szopkami. Zdaje się, że musiałem wyglądać dość dziwnie: spocony, zdyszany, z rozbieganym spojrzeniem. Zrobiłem jeszcze

parę kroków w głąb grotu. Wtem eksplodowała lalka przedstawiająca pasterza z fletem. Dałem nura w tłum.

Wciąż nikt się nie zorientował, że dzieje się coś złego. Nieprawdopodobne. Ale było dosyć ciemno. Rozejrzałem się. Himmell został zatrzymany przez gang groźnie wyglądających siedmiolatków. Wciąż oglądając się za siebie, brnąłem dalej. Nagle ktoś złapał mnie i podniósł za kołnierz. Nie do wiary. Wpadłem na Świętego Mikołaja, a ten posadził mnie sobie na kolanach.

Patrzył na mnie radośnie i uśmiechał się spod białej brody. To był klasyczny Święty Mikołaj z supermarketu: czerwona czapka, czerwone portki, czerwony kubraczek, tłusty brzuszek i nieświeży oddech.

- Jesteś trochę za stary dla Mikołaja, prawda? - zapytał tubalnym, mikołajowym głosem.

- Proszę mnie puścić - krzyknąłem, wierząc się na jego kolanach.

Ale trzymał mnie mocno. Miałem wrażenie, że świetnie się bawi.

- A co chcesz dostać na gwiazdkę? - zapytał.

- Chcę uciec facetowi, który chce mnie zabić. Roześmiał się. Wokół było mnóstwo ludzi i gdybym nie był taki wściekły, zaczerwieniłbym się ze wstydu po same uszy. Dziewczynka - nie mogła mieć więcej niż sześć lat - pokazała na mnie palcem i wybuchnęła śmiechem. Jej rodzice pstryknęli zdjęcie.

- Ho ho... - zadudnił Mikołaj. Nie zdążył dojść do trzeciego „ho”.

Usłyszałem cichutkie „puf” i Mikołaj osunął się na podłogę. Wyrwałem się, dałem susa w tłum i przykucnąłem. Himmell stał po drugiej stronie i ładował pistolet. Nikt nie zwracał na niego uwagi. Wszyscy gapili się na Mikołaja; na jego drgające w konwulsjach ciało, na brodę, która zaczęła się czerwienić od krwi. Mała dziewczynka, która przed chwilą wytykała mnie paluszkami, rozplakała się. Święty Mikołaj umarł. Ja uciekłem.

Wydostałem się z grotu, kiedy ludzie zaczęli właśnie wrzeszczeć wniebogłosy. Słyszałem ich nawet, kiedy, szukając drogi ucieczki, przebiegłem na drugą stronę i znalazłem się w dziale z kobiecą odzieżą.

- Ochrona proszona o stawienie się na trzecim piętrze. Ochrona na trzecie piętro - popłynął z głośnika spokojny, pozbawiony emocji głos, kiedy właśnie zauważyłem wyjście przeciwpożarowe. Otworzyłem drzwi i znalazłem się na pustej klatce schodowej. Chciałem zejść na parter, ale usłyszałem dudnienie kroków ochroniarzy wbiegających na górę, więc zamiast na dół pobiegłem na czwarte piętro.

Minąłem drzwi, przebiegłem korytarzem, otworzyłem następne drzwi i znalazłem się w dziale z zabawkami. Byłem zziębnięty. Nie mogłem dalej biec, a hałas i jaskrawe kolory zabawek pozbawiły mnie nagle resztek sił. Roboty buczały i tupały. Elektroniczne organki wygrywały cukierkowate melodyjki. Gry komputerowe wyły i jęczały. Coś śmignęło mi nad uchem. W pierwszej chwili myślałem, że to następny pocisk i runąłem na podłogę, przewracając kilka robotów. Ale to był tylko sprzedawca z papierowym modelem szybowca. Roboty przebierały nóżkami w powietrzu i buczały. Otrzeptałem się i ruszyłem dalej.

Teraz byłem właściwie pewny, że udało mi się zgubić Himmella. Przeszedłem do działu z artykułami sportowymi - najpierw przez stoiska z ubraniami, a potem ze stołem bilardowym, hantlami oraz kijami do golfa i hokeja. Oparłem się o kontuar, na którym widniał napis obwieszczający specjalną promocję:

Odkrył przyjemności nurkowania głębinowego!!!

Młody sprzedawca pokazywał amerykańskiej parze najnowszy sprzęt: maski, kombinezony, harpuny.

- Harpun działa na zasadzie sprężonego powietrza - tłumaczył sprzedawca. - Po prostu ciągnie pan tutaj, załadowuje w ten sposób i...

I pojawił się Himmell. Nie wiem, jak się tu znalazł. Stał nie więcej niż trzy metry ode mnie. Nie miałem, dokąd uciekać. Trzymał rękę w kieszeni i właśnie ją podniósł razem z marynarką. Zastrzelił mnie, a potem po prostu sobie odedzie. I nikt nie będzie go o nic podejrzewał.

Skoczyłem w bok, chwyciłem harpun i odwróciłem się do Himmella. Sprzedawca krzyknął. Nacisnąłem spust.

Broń zadrzała mi w rękach. Harpun wystrzelił, ciągnąc za sobą srebrzystą linkę. Na początku wydawało mi się, że spudłowałem. Myślałem, że harpun przeleciał nad barkiem Himmella, lecz po chwili zauważyłem, że jedno z ostrzy przeszło garnitur i przyszpiliło Himmella do ściany. Amerykanie spojrzeli na mnie zdumieni.

- Świetna zabaweczka! - powiedziałem. Rzuciłem harpun na podłogę. Himmell wyrwał się do przodu, ale ostrze wbiło się porządnie w ścianę i nie mógł się ruszyć.

- Ty mały... - zaczął.

Nie zamierzałem tego słuchać. Znalazłem następne wyjście przeciwpożarowe i tym razem udało mi się wydostać z Selfridges. Przeszedłem przez ulicę i przystanąłem przed wejściem do Marksa i Spencera. Odetchnąłem z ulgą, widząc, że Lauren już na mnie czeka.

- Co tak długo? - zapytała.

- Nie miałaś żadnych problemów?

- Jasne, że nie. Gott ledwo chodził, a co dopiero mówić o bieganiu. Himmell był w lepszej formie.

- Tak - zgodziłem się. - Rzeczywiście. Lauren westchnęła.

- To dopiero była strata czasu - zauważyła. - Niczego się nie dowiedzieliśmy.

Wróciłem myślami do działu z żywnością, przypomniałem sobie wszystko, co tam zobaczyłem. I nagle pojąłem. Jakbym przez cały czas to wiedział, tylko ktoś musiał mi przywalić w szczękę, żebym to sobie uświadomił. Uśmiechnąłem się. Johnny Neapol musiał uśmiechnąć się tak samo.

- No mów... - powiedziała Lauren, która zorientowała się, że znalazłem rozwiązanie.

Kiedy przechodziliśmy znowu przez Oxford Street na jezdni stały te same taksówki i te same autobusy. Weszliśmy do metra, skąd chcieliśmy pojechać na South Kensington, a tam przesiąść się na autobus.

Wiedziałem, co znaczyły maltanki. Ale musiałem mieć pewność.

Informacja

Kod kreskowy - powiedziałem.

- Co takiego?

- Te czarne kreseczki na białym tle na rzeczach, które kupujesz w sklepach.

- Co z nimi?

Wyciągnąłem z plecaka czekoladki i pokazałem je Lauren.

- Spójrz - powiedziałem. - Widzisz? Tu jest kod kreskowy.

- No i co z tego?

- Właśnie tego używali w Selfridges. Kobieta przesuwiała towary przed skanerem, a skaner dostarczał kasie informacji, ile co kosztuje. - Lauren wyglądała na zdezorientowaną, więc mówiłem dalej. - Może jeżeli przystawisz ten kod kreskowy do skanera, też coś się stanie.

- Na przykład co?

- Nie wiem. Właśnie tego musimy się dowiedzieć. Potrzebowałem lekcji elektroniki i po raz pierwszy w życiu zacząłem żałować, że szkoła jest w święta zamknięta. Na szczęście miałem pewien pomysł. Dziennikarze pisują o technice, nauce i tak dalej. Ich robota polega na tym, że muszą się znać na wszystkim po trochu. A ja znałem jednego dziennikarza: Clifforda Taylora, faceta, który przeprowadzał wywiad ze mną i z Herbertem. Pojawił się

również na pogrzebie Sokoła, więc uznałem, że nadal musi pracować dla tej samej gazety, dla „Wiadomości Fulham”.

Nikt nie czyta „Wiadomości Fulham”, ale każdy, kto mieszka w Fulham, ją dostaje. Nie ma zresztą wyboru, bo to jedna z tych bezpłatnych gazet, które pojawiają się w skrzynce pocztowej razem z furą reklam supermarketów i pizzerii oraz z ofertami „Reader’s Digest”. „Wiadomości Fulham” są dostarczane w środę rano. W środę po południu można zobaczyć jej egzemplarze w pojemnikach na śmieci lub po prostu na chodnikach.

Pojechaliśmy autobusem na ulicę Fulham, minęliśmy mieszkanie Herberta i poszliśmy na Fulham Broadway, czyli na najgorszy odcinek Fulham, który jest błotnisty w deszczu, zakurzony w słońcu, ale zawsze brudny i przygnębiający. Od czasu do czasu przechodziłem obok siedziby redakcji „Wiadomości Fulham”, ale nigdy nic zaglądałem do środka. Znajdowała się przy głównej drodze, obok banku. Wdrapaliśmy się z Lauren po schodach i znaleźliśmy się w prostokątnej sali z prasą drukarską po jednej stronie i kserokopiarką po drugiej. W środku stały dwa stoły, na których leżały stosy papierów. Sala musiała należeć kiedyś do szkółki baletowej, bo na całej długości jednej ze ścian było lustro, przez co

- Oczywiście! Jasne, jasne! Jak wam się powodzi? W Fulham nie ma raczej zapotrzebowania na prywatnych detektywów...

- Wiem - przerwałem mu.

Clifford lubił gadać. Kiedy robił z nami wywiad, mówił więcej niż my.

- Zastanawiałem się, czy nie mógłbyś mi pomóc - powiedziałem.

- Jasne, jasne.

- To takie trochę naukowe pytanie. Czy wiesz coś o handlu?

- O Handlu? - Zmarszczył brwi. - Chyba nie przypominam sobie nikogo o takim nazwisku. Znam Haendla... ale on był kompozytorem, a nie naukowcem.

- Nie - westchnąłem. - Chodzi mi o sklepy. I o kody kreskowe. Chciałbym się dowiedzieć, jak to działa.

Clifford przeczesał ręką włosy. Nie miał zbyt wiele do przeczesywania. Właściwie miał więcej łupieżu niż włosów.

- Dobra.

Odchylił się do tyłu i położył nogi na biurku.

- W technologii chodzi przede wszystkim o jedno: o informację, o jej elektroniczne przechowywanie i przekazywanie. Komputery przechowują informacje. Satelity wysyłają informacje. Ale te informacje nie są zapisane w taki sam sposób, jak w książce. Nie. Te informacje są zapisane cyfrowo.

- Jak wygląda taka informacja cyfrowa?

- No cóż. Dawniej zapisywana była w postaci dziurek na taśmie. W nowoczesnej płycie kompaktowej też są dziurki, tyle że za małe, żeby je dostrzec gołym okiem. A kod kreskowy też jest formą cyfrowego zapisu informacji. Obecnie wszystkie towary mają kody kreskowe. Jeżeli im się przyjrzyysz, zobaczysz pod spodem rząd trzynastu cyfr. I właśnie tym samym rzędem cyfr jest sam kod kreskowy. Określonym numerem, który mówi komputerowi wszystko, co potrzeba.

Kiedy tak opowiadał, wyjąłem z plecaka pudełko maltanek. Oczy Clifforda zaświeciły się, gdy je zobaczył.

- Jak na przykład na tym pudełku - powiedział. - Na spodzie masz kod kreskowy. - Wskazał palcem niebiesko-biały kwadracik w lewym rogu. - Część tego kodu powie, przez jaką firmę został wyprodukowany ten towar. Inna część powie komputerowi, że to pudełko maltanek, które waży tyle i tyle i kosztuje ileś tam funtów.

- W jaki sposób komputer odczytuje kod kreskowy? - zapytałem.

- No cóż. To wszystko robi się za pomocą laserów - wyjaśnił Clifford. - W ladzie przy kasie jest takie małe okienko. Osoba, która siedzi przy kasie, przesuwa pudełko maltanek albo cokolwiek innego przed tym okienkiem. Za nim znajduje się laserowy skaner. Kasjerka może też użyć świecącej diody, ale w obu przypadkach mechanizm jest ten sam. Światło pada na kod kreskowy. Rozumiesz?

Nie byłem pewien, ale pokiwałem głową. Jeżeli dowiedziałem się w szkole czegokolwiek o nauce, to tego, że kiedy naukowiec coś tłumaczy, trudno go zrozumieć, ale prawdziwe problemy zaczynają się, gdy prosisz naukowca o wyjaśnienie wyjaśnień. Masz wtedy jak w banku, że nic nie skapujesz.

- Dobrze - powiedział Clifford. - Wiązka światła pada na kod kreskowy. I teraz: czarne paski nie odbijają światła. Tylko te białe. Więc odbita zostaje jedynie część światła. I gdzieś w środku tego okienka przy kasie znajduje się fotokomórka, czyli takie sprytne urządzenie, które przesyła impuls elektryczny, ilekroć padnie na nie światło. Rozumiesz? Przytykasz kod kreskowy do okienka i na kod pada światło, którego część następnie odbija się z powrotem i zostaje przetworzona w serię impulsów elektrycznych. Na każdą białą kreseczkę kodu przypada więc jeden impuls. Takie bzz. I właśnie to bzz jest cyfrową informacją, która zostaje przesłana do komputera. To prawie tak jak w alfabecie Morse'a. I właśnie dzięki temu komputer wie, co to za produkt! - wykrzyknął z triumfem, a potem kichnął.

Lauren wyciągnęła rękę po pudełko. Odwróciła opakowanie do góry nogami i zaczęła się przyglądać kodowi kreskowemu.

- Czy można użyć kodu kreskowego jako... klucza? - zapytałem.

Właśnie tego słowa użył Grubas. Powiedział, że szuka klucza.

- Oczywiście! - wykrzyknął dziennikarz. - Kod kreskowy jest w zasadzie właśnie kluczem.

- Ale czy można by nim coś otworzyć, na przykład sejf?

- To zależy od tego, jak zaprogramujesz komputer. Ale odpowiedź brzmi: tak. Można nim otworzyć sejf, zagrać melodyjkę, zaparzyć herbatę...

„Otwierają...” Zapytałem Profesora, do czego służą maltanki, i właśnie to mi powiedział. Wszystko zaczynało nabierać sensu. Klucz. Kod znany tylko Sokołowi. Sejf. Johnny Neapol odgadł to, kiedy robił zakupy w Selfridges. Teraz przypomniałem sobie słowa zapisane na podartej karteczce, którą znalazłem w jego pokoju. Cyfrowa... fotokomórka... dioda. Clifford Taylor użył tych wszystkich słów w swoim wyjaśnieniu.

Od początku podejrzewałem, że same maltanki stanowią klucz do tajemnicy, ale opierałem swoje przypuszczenia na niczym niepotwierdzonych domysłach. Kiedy Johnny

Neapol kupił kopertę w sklepie Hammett's, zrobił też coś innego. Kupił parę nożyczek. Dlaczego? Żeby wyciąć kod kreskowy. Tylko jego potrzebował. Musiał go po prostu przytknąć do... Właśnie. Nadal nie wiedziałem, gdzie jest sejf.

- Mam nadzieję, że wam pomogłem - powiedział dziennikarz.

- Jasne - odparłem. - Nawet bardziej, niż myślisz. - Jest w tym jakaś historia na artykuł? Pokiwałem głową.

- Międzynarodowy król przestępców, gang opryszków i fortuna w diamentach. Wspaniała historia.

Clifford Taylor westchnął cicho.

- Obawiam się, że nie mogę jej wykorzystać. Jest za bardzo interesująca, jak na „Wiadomości Fulham”. Ale nie zapomnijcie o następnym numerze. Piszę bardzo ciekawy artykuł o efektywności systemu jednostronnego ruchu w Chelsea.

- Nie mogę się doczekać - zapewniłem. Zostawiliśmy Clifforda przy biurku i zeszliśmy po schodach. Dopiero na parterze Lauren wykrzyknęła:

- Zostawiłam maltanki na górze! Poczekaj, kochanie... Wbiegła z powrotem na górę. Po jakiejś minucie pojawiła się znowu, wymachując pudełkiem czekoladek.

- Chyba postradałam zmysły! Jak mogłam je tam zostawić?! - powiedziała.

Już więcej o tym nie myślałem. To była zwykła pomyłka.

Znajdowaliśmy się w pobliżu mieszkania Herberta, więc uznałem, że przebiorę się w świeże rzeczy. Lauren łatwiej było pojechać od razu metrem na Baron's Court, więc rozstaliśmy się na stacji Fulham Broadway. Był piękny dzień. Zimny, ale słoneczny. Lauren zatrzymała się przed wejściem do stacji, jakby bała się iść dalej.

- Nick... - powiedziała.

- Tak?

- To, co powiedziałam tamtej nocy... Chcę, żebyś wiedział, że nie kłamałam. Jesteś miłym chłopcem. Zasługujesz w życiu na wszystko, co najlepsze.

Spojrzałem na nią, a potem roześmiałem się, zażenowany.

- Co to takiego? - spytałem. - Spotkamy się najwyżej za godzinę. A ty gadasz tak, jakbyśmy się mieli już nigdy nie zobaczyć.

- Oczywiście. - Potrząsnęła głową. - Nie ma o czym mówić. Przepraszam.

Lauren weszła na stację metra, a ja poszedłem w górę Fulham Road, minąłem cmentarz i dotarłem do domu. Kiedy tak szedłem, zastanawiałem się nad tym, co już wiedziałem. Maltanki były kluczem do skarbu. Sęk w tym, że nie wiedziałem, gdzie ten skarb się znajduje. I zastanawiało mnie coś jeszcze. Kto zastrzelił Johnny'ego Neapola? Stawałem

przede wszystkim na Grubasa. Gdyby to była sprawka Gotta i Himmella, raczej by mi o tym powiedzieli, kiedy byłem ich więźniem. W końcu opowiedzieli mi o Lawrensie bez mrugnięcia okiem. Ale mimo to coś mi tu nie pasowało. Po prostu nie potrafiłem sobie wyobrazić Grubasa, który brudzi sobie ręce w taki sposób. To nie było w jego stylu. Więc jeśli nie on, to kto?

Zajrzałem do plecaka. Przynajmniej czekoladki były bezpieczne. W tej chwili tylko to się dla mnie liczyło.

Kiedy doszedłem do domu, było około trzeciej. Wślizgnąłem się do środka tak szybko, jak umiałem. Uznałem, że im mniej ludzi mnie zobaczy, tym lepiej. Nie chciałem zostawać w domu zbyt długo. Miałem zamiar tylko zmienić koszulę i skarpetki, i się ulotnić. Wszedłem na górę. Drzwi do biura były otwarte. Zajrzałem do środka.

Czekało tam na mnie czterech drabów. Jeden stał za drzwiami. Zatrzasnął je kopniakiem, kiedy wszedłem, więc gdy się odwróciłem, nie miałem którejdy uciekać. Oddałbym prawą rękę za możliwość ucieczki. Jeśli zabawię w tym towarzystwie dość długo, i tak mi ją urwą. Czterech drabów miało na sobie garnitury rozmiaru XL, ponieważ same draby były rozmiaru XL. Kiedyś w szkole uczyli mnie, że człowiek powstał na drodze ewolucji z małpy. Mogę tylko powiedzieć, że tych czterech facetów miało jeszcze sporo do nadrobienia. Byli wielcy, ciężcy i brutalni. Mieli tępe oczka i grube wargi. Wszyscy żuli gumę.

- Jesteś Nick Diament? - zapytał jeden z drabów.

- Ja? - wybełkotałem. - Ależ skąd... Nie... Nie! Nie jestem Nick Diament. Ja... ja mam tylko coś dostarczyć.

- Co takiego? - zapytał drugi.

- Eee... - Musiałem coś wymyślić szybciej, niż oni wymyślą mi jakąś wymyślną torturę. - Jestem śpiewającym telegramem! - wykrzyknąłem radośnie. - Sto lat, sto lat, niech...

- Próbowałem śpiewać dalej, ale słowa uwięzły mi w gardle. Chyba nie udało mi się ich przekonać. - Dajcie spokój, panowie - jęknąłem. - Przecież nie może wam chodzić o mnie.

- Ta... zara ty też nic będziesz mógł chodzić - zauważył trzeci.

Wszyscy czterej wybuchnęli śmiechem. Nawet na pogrzebach słyszy się radośniejsze dźwięki. Wciąż się śmiejąc, zaczęli się do mnie zbliżać.

- To jakaś piramidalna pomyłka - wykrztusiłem. Drab stojący za drzwiami dorwał mnie pierwszy.

Chwycił mnie jedną ręką za kołnierz i podniósł jak piórko.

- Żadna pomyłka, słonko - powiedział. - Grubas chce się z tobą widzieć.

We mgle

Dowiedziałem się, że cztery draby mają na imię Lenny, Benny, Kenny i Fred. Lenny był dowódcą. Pewnie dlatego, że miał prawo jazdy. Zaparkowali samochód przed moim domem. Był to minimorris. Kiedy wszyscy się do niego wladowaliśmy, zdziwiłem się, że w ogóle ruszył. Ja w każdym razie ruszyć się nie mogłem. Siedziałem na tylnym siedzeniu między Bennym i Kennym. Było tak ciasno, że gdyby oddychali w tym samym tempie, zostałbym zmiażdżony. Mai tanki nadal schowane były w moim plecaku, tyle że plecak leżał na kolanach Freda. Lenny prowadził. Zostałem „zabrany na przejażdżkę”, jak to mówią. I odniosłem ponure wrażenie, że mam bilet tylko w jedną stronę.

Wyjechaliśmy z miasta na zachód, w kierunku Richmond. Przed wyjściem Lenny zadzwonił do Grubasa, więc wiedziałem, że książkę angielskich złodziei będzie na mnie czekał. Wyglądało na to, że trochę sobie poczeka. Draby były tak ciężkie, że biedny morris - samochodzik wielkości średniej mydelniczki - wyciągał najwyżej czterdziestkę na prostej i pustej drodze. Mnie oczywiście nigdzie się nie śpieszyło; z utęsknieniem czekałem, kiedy silnik w końcu odmówi posłuszeństwa i samochód się rozkraczy. Nie mogłem się wprost doczekać widoku czterech drabów jadących autobusem.

- Nie możecie mi tego robić - zaprotestowałem. - Jestem nieletni. Jestem tylko dzieckiem. Mam przed sobą całe życie.

- Tak ci się tylko wydaje - chrząknął Lenny.

- Ale mam pieniądze - powiedziałem. - Podzielę się z wami.

- Jasne - burknął Lenny, biorąc zakręt. - Możesz nam je zapisać w testamencie.

Skręciliśmy w boczną, wijącą się drogę wiodącą przez coś, co wyglądało na pozostałości zabudowy przemysłowej sprzed jakichś stu lat. Były to stare, wypalone od środka i sypiące się wiktoriańskie budynki. Kolejna część Londynu z przeszłością, ale bez przyszłości. Droga prowadziła nad rzekę. Nagle skończył się asfalt i samochodzik zaczął grzęznąć w żwirze i podskakiwać. Cztery draby podskakiwały na siedzeniach. Sprężyny błagały o zmiłowanie. Podjechaliśmy do samego brzegu Tamizy i Lenny zaciągnął hamulec. Byliśmy na miejscu.

- Wsiadka - zakomenderował.

Nie wiadomo skąd wyciągnął pistolet i chyba nie muszę mówić, w kogo go wycelował. Jeżeli kiedyś patrzyliście w pojedyncze oko lufy, wiecie, że to żadna przyjemność. Takie oko musi mieć diabeł.

- Ruszaj - powiedział Lenny.

Więc ruszyłem. Zatrzymaliśmy się w miejscu, które wyglądało na parking, tyle że morris był jedynym zaparkowanym tu autem. Byliśmy na kolejnym placu budowy. Tutaj także stawiano luksusowe domy z widokiem na Tamizę. Ale na razie zrobili tylko fundamenty, z których sterczały metalowe pręty. Zaczęło się ściemniać, a nad wodą zebrała się mgła pachnąca solą i rybimi szczątkami. Była tak gęsta, że nie widziałem nawet drugiego brzegu, co znaczyło, że nikt z tamtej strony też nie mógł mnie zobaczyć. Zadrzałem z zimna. No, może nie tylko z zimna. Byłem sam w towarzystwie czterech najgorszych zbirów, jakich zdarzyło mi się spotkać.

Jeden z drabów zapalił parafinową lampę, która rozbliła zimnym białym światłem. Okazało się, że przedtem wszystko sobie przygotowali. Nie wiem dlaczego, ale wcale mi się to nie podobało. Jakies cztery metry od wody stało drewniane krzesło, a obok stara żeliwna wanna. Wanna była dość głęboka, jej brzegi znajdowały się na wysokości siedzenia krzesła. Obok leżał stos okazałych toreb z brązowego papieru. Kenny podniósł jedną z nich i otworzył. Posypał się szary proszek. W tym samym czasie Benny podszedł do wanny, ciągnąc za sobą gumowy wąż, z którego już lała się srebrzysta woda. Cement, woda, wanna, krzesło i Tamiza. Teraz zrozumiałem - i jeszcze mniej mi się to spodobało.

- Siadaj - powiedział Lenny, pokazując mi pistoletem krzesło.

Podszedłem, podeszwy moich butów chrzęściły o mokry żwir. Żaden z drabów ani na moment nie spuścił ze mnie wzroku. Nie czerpali z tego żadnej przyjemności. Po prostu wykonywali swoją robotę. Ja też zresztą nie czerpałem z tego spaceru żadnej przyjemności - a wcale mi za to nic płacili. Ale nic nie mogłem zrobić. Usiadłem na krześle. Stało tak blisko wanny, że musiałem włożyć do niej nogi. Kątem oka spostrzegłem, jak Kenny i Benny mieszają cement. Jeżeli uda mi się stąd wydostać, pomyślałem, urządzę sobie pokutę i pojedę do Australii. Moi rodziciele być może nie należeli do najfajniejszych wapniaków na świecie, ale nigdy nie próbowali mnie zabić. W każdym razie nigdy tego nie zauważyłem. A to już duży plus.

- Słuchaj, Lenny... - zacząłem, próbując przemówić mu do rozsądku.

- Gęba na kłódkę, mały - uciął. Zdaje się, że nie miałem do czego przemawiać.

Kenny i Benny podeszli do mnie, każdy niósł duże wiadro mokrego cementu. Łypnęli na Lenny'ego, a ten skinął głową. Na tę komendę obaj jednocześnie przechylili wiadra. Szary cement polał się do wanny jak zimna owsianka, zalewając moje buty i skarpetki. Poczulem mroźny chłód. Cement był ciężki, czułem, jak przygniata mi stopy. Zacząłem ruszać palcami u stóp. Lenny przystawił mi pistolet do głowy.

- Nie ruszaj się - powiedział.

- Ale mi mokro... - poskarżyłem się.

- Nie bój nic, mały. To cement szybkoschnący. Za chwilę zacznie wiązać.

Kenny i Benny włąli jeszcze po dwa wiadra szarej mazi. Kiedy skończyli, miałem cementu po kolana. Gdyby ktoś mnie zobaczył, siedzącego z nogami w wannie na brzegu Tamizy, pewnie pomyślałby, że zwariowałem. Ale nikt nie mógł mnie zobaczyć. Zrobiło się zupełnie ciemno. A mgła jeszcze się zagęściła. Zupełnie jak cement.

Lenny przestał nawet masować mi głowę lufą pistoletu. Cement już prawie związał. Sprawdziłem. Spróbowałem unieść prawą nogę. Nie mogłem. Wtedy naprawdę zacząłem się bać. Mówi się o byciu jedną nogą w grobie - ja stałem już w grobie po kolana. Byłem przyklejony do wanny i wiedziałem, że za chwilę podniosą ją i wrzucą do rzeki. Zatonimy razem i całą resztę wieczności spędzę, stojąc na baczność i salutując rybkom.

Powiadają, że kiedy człowiek tonie, przed oczami staje mu całe życie. W moim przypadku na całe życie starczyło pięć sekund. Uświadomiłem sobie, jak krótko żyłem, i żałowałem, że większość czasu na tym łez padole spędziłem w szkole.

Usłyszałem jakiś bulgoczący dźwięk od strony rzeki. Łódź, pomyślałem. Łódź, która się zbliża. Może to policja rzeczna? A więc była jeszcze nadzieja. Ale Fred też czekał na tę łódź. Szare zasłony mgły rozsunęły się, ukazując śnieżnobiały kadłub motorówki. Ktoś rzucił na brzeg linę. Fred przycumował ją do sterczącego z ziemi palika. Ktoś wysunął z łodzi mostek. Po chwili zszedł po nim Grubas.

Był ubrany w wieczorowy garnitur, a na szyi miał biały jedwabny szal. Lekkim skinieniem głowy przywitał się z czterema zbirami, po czym podszedł do mnie. Bez słowa pochylił się nad wanną i popukał palcem w beton. Serce podskoczyło mi do gardła. Beton już zupełnie stwardniał. Grubas się wyprostował. Cztery draby zbliżyły się do niego.

- Zabrakło ci dowcipów, Nicholasie? - zapytał Grubas. - Nie masz nic zabawnego do powiedzenia?

- Jest pan szaleńcem, panie Grubasie - powiedziałem.

- A ty, mój chłopcze, jesteś głupcem. Miałeś szczęście, że udało ci się ująć z życiem z hotelu Luksus. Ale teraz to już koniec.

- Co ja panu takiego zrobiłem? - spytałem.

- Okłamałeś mnie - powiedział Grubas. - A co gorsza, próbowałeś wystrychnąć na dudka. Dałem wam czterdzieści osiem godzin, żebyście coś dla mnie znaleźli. I nie wywiązaliście się z zadania.

- Co pan powie na drugą szansę? - zapytałem. Grubas tylko prychnął. W tym samym czasie Fred wystąpił do przodu, otworzył plecak, wyjął pudełko maltanek i wręczył je Grubasowi. Grubas wziął je, podniósł do światła i coś przeczytał.

- Doskonale! - szepnął.

To mnie dopiero zaskoczyło. Skąd wiedział o czekoladkach? Nigdy wcześniej o nich nie wspominał. Odgadł chyba moje myśli, bo uśmiechnął się krzywo.

- Zastanawiasz się, jak odkryłem, co było w paczce karła? - zapytał. Odwrócił się w stronę motorówki. - Panie Profesorze!

Wytrzeszczyłem oczy, usiłując przeniknąć mgłę. Na mostku pojawił się zarys ludzkiej postaci, która zeszła na ląd, lekko się zataczając. Stanął przede mną Profesor, Janusz Jacek Jojko.

- Dał mi pan niewłaściwe pudełko - powiedział z wyrzutem.

- Więc Profesor przyszedł do mnie - wtrącił się Grubas. - To była bardzo mądra decyzja. Wiedziałeś, że to właśnie Profesor zaprojektował całe to urządzenie? Widzisz, Sokół potrzebował klucza, który nie wyglądałby jak klucz. Miał zbyt wielu wrogów. Więc Profesor zaprojektował kod kreskowy...

- Ale dlaczego mai tanki? - zapytałem. Ta informacja była zupełnie zbędna, ale mimo to chciałem wiedzieć.

Profesor wzruszył ramionami.

- Lubię maltanki - powiedział.

- A teraz ja je mam - zauważył z uśmiechem Grubas. - Już niedługo Profesor powie mi, co otwierają...

- A wtedy go pan zabije - wtrąciłem. Nie miałem nic do stracenia. Za parę minut i tak umrę. Zwróciłem się do Profesora:

- Myśli pan, że Grubas podzieli się z panem pieniędzmi? - powiedziałem. - Jak tylko wyjawi mu pan swoją tajemnicę, skończy pan na dnie Tamizy.

- Dzielimy się po połowie - wymamrotał Profesor, ale widziałem, że zaczyna się wahać.

- Do zobaczenia w piekle, Profesorze - powiedziałem. Grubas zbladł ze złości, a żyły na szyi napęczniały mu i zaczęły pulsować, grożąc rozpruciem kołnierza.

- Wrzucić go! - wrzasnął, po czym odsunął się do tyłu. W tej samej chwili Lenny, Benny i Kenny skoczyli w moją stronę. Chwycili wannę i nagle znalazłem się w powietrzu. Tamiza była coraz bliżej. Myślę, że jestem całkiem bystry. Czasami zachowuję się jak

dorosły. Ale w tamtej chwili mogłem krzyczeć, ryczeć i rwać włosy z głowy, gdybym tylko myślał, że mi to pomoże.

Chlupot fal stawał się coraz wyraźniejszy. Grubas przyglądał nam się z daleka.

Byliśmy jakieś dwa metry od wody, gdy mrok i mgłę przecięło światło reflektora, który znajdował się gdzieś w górze, za moimi plecami. Trudno powiedzieć, gdzie dokładnie. Zbiry zatrzymały się, a ja z nimi.

W powietrzu rozległ się trzask, a potem głos z megafonu.

- Policja. Nie ruszać się. Jesteście otoczeni.

Lenny, Benny i Kenny upuścili mnie na ziemię. Grubas pobiegł do łodzi. Wciąż miał ze sobą maltanki. Profesor pobiegł za nim. Lenny wyciągnął pistolet i wystrzelił w kierunku reflektora. Próbowałem paść na ziemię, ale mogłem tylko przykucnąć. Rozległ się drugi strzał. Lenny padł.

- Nie ruszać się - powiedział głos. - Mamy broń. Trzeba to było powiedzieć Lenny'emu.

Grubas dobiegł do łodzi i wyciągnął rękę do Profesora, ale ten był za daleko. Zapijaczony krótkowidz nie trafił w mostek i wpadł do Tamizy. Benny, Kenny i Fred rozproszyli się i poukrywali, a plac budowy zaroił się od ludzi, biegających tam i z powrotem.

Profesor nie umiał pływać, rzucił się w wodzie i wzywał pomocy, ale Grubas nie mógł dłużej czekać. Policjanci już zbliżali się do łodzi.

Zawarczał silnik i motorówka odbiła od brzegu. W tej samej chwili Profesor wrzasnął żałośnie. Znalazł się za blisko śruby. Dziękowałem losowi, że byłem za daleko i oszczędzono mi widoku tego, co pozostało z Profesora. Być może, już nigdy nie tknąłbym pomidorowej.

Benny, Kenny i Fred zostali aresztowani. Widziałem, jak leżą rozplaszczeni na ziemi, a na nich siedzą policjanci. Cała budowa była rozświetlona reflektorami, a ja nadal stałem w wannie po kolana w betonie.

Wtem poczułem, jak wanna przesuwana powoli w stronę rzeki. Nie mogłem w to uwierzyć! Jakiś skulony człowiek pchał z całych sił wannę (i mnie!) po żwirze.

Wtedy usłyszałem znajomy głos.

- Nie, Wrzontek - powiedział Snape. - Nie możesz go wepchnąć. Przyszliśmy go uratować. Idź do samochodu i przynieś dłuto.

W kąpielí

Snape i Wrzontek odwieźli mnie do domu. Było mi zimno, byłem mokry i miałem wszystkiego po dziurki w nosie (z wyjątkiem cementu, na szczęście). Moje buty, skarpetki i spodnie nadawały się tylko do wyrzucenia, a nogi były w niewiele lepszym stanie. Bolało mnie gardło i miałem zapchany nos. Wydobyli moje nogi z betonu, ale nadal czułem się, jakby w żyłach krążył mi zastygający cement. Na dobitkę straciłem maltanki. To był kiepski dzień i cieszyłem się, że mam go już za sobą. Gdybym wiedział, co mnie czeka, w ogóle nie wstawałbym z łóżka.

Zaprosiłem Snape'a i Wrzontka do domu, a potem wstawiłem wodę na kawę. Kiedy woda zaczynała się gotować, próbowałem zadzwonić do Lauren. Pomyślałem, że może się o mnie martwić. Nikt nie odbierał. Włączyłem termę w łazience, żeby nagrzać sobie wody na kąpiel, a potem zszedłem na dół. Snape i Wrzontek zdążyli się już rozgościć w biurze Herberta. Zrobiłem trzy kubki kawy i zaniósłem je do biura. Nadinspektor i jego podwładny nie lubili mnie, a ja nie lubiłem ich, ale czy mi się to podobało, czy nie - uratowali mi życie. Mogłem więc przynajmniej poczęstować ich kawą.

- Dobra - powiedziałem. - Jak mnie znaleźliście?

- Obserwowaliśmy wasz dom - odparł Snape. - Widzieliśmy, jak wchodzisz, i widzieliśmy, jak cię wyprowadzają. Miałeś szczęście, kolego. Śledziliśmy was do samej Tamizy, a kiedy zobaczyliśmy, co się święci, Wrzontek poprosił przez radio o wsparcie.

- Dlaczego obserwowaliście nasze mieszkanie? - spytałem.

Snape parsknął śmiechem.

- A jak myślisz? W ciągu ostatnich kilku dni otrzymaliśmy parę dziwnych doniesień. Nie przeżywaliśmy niczego takiego od trzydziestu lat, słowo daję. Chłopiec wysadza w powietrze hotel przy ulicy Portobello. Chłopiec zrzuca fortepian z czwartego piętra. Chłopiec szaleje po Selfridges i pozostawia za sobą czterdzieści rozhisteryzowanych dzieciaków martwego Świętego Mikołaja. Można by pomyśleć, że Londyn przeżywa najazd diabolicznych chłopców. Tyle że rysopis każdego z nich pasuje do jednej osoby. Do ciebie.

- Mogę to wytłumaczyć - powiedziałem.

- Cieszę się, że to słyszę. Ostatnio bardzo utrudniałeś mi życie. I wnerwiałeś Wrzontka...

- Jestem wnerwiony - zgodził się Wrzontek.

-...i wyrządziłeś więcej szkód niż Niemcy w obu wojnach światowych razem wziętych. A myślałem, że twój brat to przekleństwo!

- A właśnie, gdzie jest Herbert? - zapytałem. Snape zmrużył oczy.

- Zwolniliśmy go w porze lunchu. Nie mogliśmy go dłużej przetrzymać. Mówiąc szczerze, nie chcieliśmy tego robić.

- Cóż, nie widziałem go dzisiaj - zauważyłem.

Nie martwiłem się tym specjalnie. Zdziwiło mnie, że Herbert gdzieś zniknął, ale potrafiłem to zrozumieć. Prawdopodobnie pojechał w te pędy do ciotki Maureen. Będzie się tam ukrywał, aż przestanie być gorąco. Przeszedł mnie dreszcz. Herbert nie zapłacił za ogrzewanie. W mieszkaniu nie było gorąco już od co najmniej dwóch tygodni.

- Powiedział wam wszystko? - zapytałem.

- Cóż... Herbert ma wiele wspólnego z kanarkami. Snape wyciągnął rękę.

- Chcę dostać te maltanki - oznajmił.

- Nie mam ich - powiedziałem. - Grubas je zabrał. Snape jeszcze bardziej zmrużył oczy.

- Jeśli mi pan nie wierzy, może pan przeszukać mój plecak.

- Już to zrobiłem - mruknął Wrzontek.

- Grubas je zabrał - powtórzyłem. - Dostaniecie je, kiedy go aresztujecie.

- Aresztujemy? To nie takie proste - zauważył zasępiony Snape.

- Dlaczego?

- Z powodu braku dowodów, kolego. Nic na niego nie mamy.

- A co z dzisiejszym wieczorem?

- Nie rozumiesz! - zdenerwował się Snape. - Powie, że go tam w ogóle nie było. Ze to musiał być ktoś inny... Zresztą była mgła, a on na pewno będzie miał alibi.

Pokręciłem z niedowierzaniem głową.

- Czyli że to już koniec - powiedziałem. - Jeżeli go nie aresztujecie, to na pewno znajdzie diamenty i będzie po wszystkim.

- Powinieneś nam przekazać czekoladki dużo wcześniej - zauważył Wrzontek.

- Jasne - odparłem, kiwając głową. - A gdyby Grubas przyszedł na posterunek i powiedział, że to jego zguba, oddalibyście je bez mrugnienia okiem.

Wrzontek zawarczał złowrogo, a Snape wstał.

- Musisz odpowiedzieć na wiele pytań - powiedział.

- Chcecie mnie aresztować?

- Nie. Jak na jeden dzień, masz już dość ważeń. Porozmawiamy w przyszłym tygodniu. Jak powiedziałaś, Grubas ma maltanki i jest już po wszystkim. Będziemy w kontakcie.

Poszli do drzwi. Snape zatrzymał się w korytarzu i odwrócił w moją stronę.

- Wesołych świąt - powiedział. Zupełnie o tym zapomniałem. Była wigilia.

- Tak... wesołych świąt, panie nadinspektorze - powiedziałem. - Wesołych świąt, panie Wrzontek.

Wrzontek chrząknął. Prawdopodobnie w ogóle nie wiedział, co to Boże Narodzenie.

Godzinę później leżałem w wannie, zanurzony w gorącej wodzie i pianie, a plastikowa kaczuszka Herberta pływała mi koło stóp. Nie wyglądałem najlepiej. Po linach, cemencie, licznych szturchańcach i ucieczkach miałem tyle siniaków, że nie chciało mi się ich nawet liczyć. Ale w gorącej kąpieli czułem się dobrze. Musiałem się zrelaksować. Trzeba było poważnie pogłówkować.

Co otwierały maltanki?

Znałem odpowiedź. Wiedziałem, że wiem, jaka jest odpowiedź.

To musiało być gdzieś niedaleko naszego mieszkania. Johnny Neapol przyszedł tu z Notting Hill Gate z pudełkiem czekoladek i parą nożyczek. Musiał już Wedy znać odpowiedź. Wiedział, dokąd idzie, i przyszedł do Fulham. Ale był śledzony, więc zamiast doprowadzić bandę opryszków do skarbu, przyszedł do nas. Więc to musiało być gdzieś w pobliżu. Ale co takiego mógł mieć Sokół w pobliżu naszego domu?

Po czterech dniach znaleźliśmy Neapola konającego w zapyziałym hoteliku. Wykrztusił z siebie tylko dwa słowa: „sokół” i „słońce”. W każdym razie wydawało mi się, że powiedział „słońce”. Ale co słońce mogło mieć wspólnego z Sokołem? Nic... Chyba że miał na myśli innego sokoła. Nie człowieka, tylko ptaka. Albo rzeźbę ptaka.

Wróciłem myślą do samych maltanek. Przypomniało mi się, że Clifford Taylor opisał laser jako wiązkę światła. Słońce to też światło.

Kiedy Grubas wziął w ręce czekoladki, spojrzął na spód pudełka. Już raz udało mi się oszukać Profesora, więc ten powiedział Grubasowi, jak sprawdzić, czy to właściwe opakowanie. Henry von Sokółka musiał je jakoś oznakować. Był jeden łatwy sposób, aby to zrobić.

„Zobaczysz, że pod spodem masz rząd trzynastu cyfr”.

Tak powiedział dziennikarz. Wiedziałem, jaki to numer. Czytałem go tyle razy, że teraz znałem go już na pamięć: 3521201000000. Ten numer stanowił klucz do ostatniej części zagadki.

Wyciągnąłem korek z wanny, zawinąłem się w ręcznik i, wciąż ociekając wodą, zszedłem na dół. Dopiero po godzinie udało mi się znaleźć to, czego szukałem. To był kawałek gazety z innym numerem. Zapisałem go w dzień pogrzebu Sokola.

Na maltankach było trzynaście cyfr, ale ostatnie sześć to same zera. Jak je skreślić, zostanie siedem cyfr.

Numer telefonu. Teraz wiedziałem, gdzie się można było po jego wykręceniu dodzwonić.

Wtedy właśnie zadzwonił telefon. Hałas był tak nieoczekiwany i głośny, że omal nie upuściłem ręcznika. Pobiegnę do biura i odebrałem.

- Nick Diament?

Głos był przepełniony nienawiścią. Nie wiedziałem, że głos może być tak bardzo przepełniony nienawiścią.

- Ach, pan Gott - powiedziałem.

- Mamy twojego brata.

To mnie zaskoczyło. Mieli Herberta? Ale właśnie tak pracował Gott. Najpierw porwał Lauren, potem mnie. Dlaczego nie miałby zrobić tego samego z Herbertem?

- Jeżeli nam nie dasz tego, czego chcemy - warknął Gott - twój brat zginie.

Nie miałem tego, czego chcieli, ale nie zamierzałem się do tego przyznawać. Bo nagle wszystko zrozumiałem. Dziwne, że wcześniej na to nie wpadłem.

- Przyjdźcie na cmentarz - powiedziałem bez namysłu. - Spotkamy się przy grobowcu Sokoła. Jutro w samo południe.

Odłożyłem słuchawkę. Nie chciałem się wdawać w żadne dyskusje.

Otworzyłem szufladę biurka. Podczas naszego pierwszego spotkania Grubas dał Herbertowi swoją wizytówkę z numerem telefonu. Zadzwoniłem do niego, mając nadzieję, że kogoś zastanę.

- Tak? - zapytał monotony, pozbawiony wyrazu głos.

- Chciałbym mówić z Grubasem - powiedziałem.

- Nie ma go.

- To bardzo ważne. Mam dla niego wiadomość.

- Kto mówi?

- Nick Diament.

Nastąpiła cisza. Potem głos zapytał: - Jaka to wiadomość?

- Wiem, co otwiera klucz - powiedziałem. - I jestem skłonny zawrzeć z Grubasem umowę. Proszę mu powtórzyć, żeby stawił się na cmentarzu Brompton. Przy grobie Sokoła. Dokładnie za pięć dwunasta. Zapisał pan?

- Tak.

- Dobrze - powiedziałem i odłożyłem słuchawkę. Potem wykonałem jeszcze jeden telefon. Przy tym było mi najtrudniej. Kosztowało mnie to trzy i pół miliona funtów. Niestety, sprawa bardzo się skomplikowała, Grubas miał maltanki. Gott (i może Himmell) miał Herberta. A ja miałem rozwiązanie zagadki. Jeżeli dobrze to zaplanowałem, wszystko rozstrzygnie się jutro w południe.

Jeżeli nie... no cóż, w końcu mieliśmy się spotkać na cmentarzu. Przynajmniej nie będzie mnie trzeba nigdzie przenosić.

Miałem tylko nadzieję, że będzie świeciło słońce.

Światło

Są tylko trzy albo cztery dni w roku, kiedy cmentarz Brompton jest w miarę pusty - a pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia to oczywiście jeden z nich. To mi pasowało. Nie chciałem żadnych świadków. Doszedłem do grobowca Sokoła, kiedy była za kwadrans dwunasta. W pobliżu nikogo nie było. Na szczęście dzień był zupełnie bezchmurny. Słońce nie dawało ciepła, ale świeciło jasno. Przynajmniej pogodę miałem po swojej stronie.

Stanąłem przy grobowcu. Ziemia w miejscu, gdzie pochowano Sokoła, była jeszcze świeża. Musi minąć sporo czasu, aż trawa ją zarośnie - ale gdzie czas liczy się mniej niż na cmentarzu? Spojrzałem na płytę grobowca, który wyglądał jak wiktoriańska budka telefoniczna z rzeźbą sokoła na dachu. Jest takie stare powiedzenie, że bogactw tego świata nie można zabrać ze sobą do grobu. Ale Sokół to zrobił - a w każdym razie próbował. Odczytałem napis na płycie.

DROGA SPRAWIEDLIWYCH JEST JAK BLASK ZORZY PORANNEJ, KTÓRA
CORAZ JAŚNIEJ ŚWIECI AŻ DO BIAŁEGO DNIA. *Prz4, 18*

Sokół musiał się uśmiechać, kiedy zamawiał ten napis. Zastanawiałem się, czy nadal uśmiecha się w grobie.

Usłyszałem skrzypienie otwieranej bramy od strony Fulham Road. To musiał być Grubas. Pojawił się parę chwil później. Był ubrany w płaszcz z wielbłądziej wełny i podpierał się laską. Szedł powoli, rozkoszując się zimową aurą przed świątecznym obiadem.

Zauważył mnie, uniósł laskę i ruszył w moją stronę. Uśmiechał się, ale tylko ustami. Patrzył raczej nieufnie.

- Wesołych świąt, panie Grubasie - powiedziałem.

- Taką mam nadzieję - odrzekł. - I mam nadzieję, że nie tracisz mojego cennego czasu, chłopcze. Powinieneś już wiedzieć, że nie znoszę...

- Ma pan maltanki? - przerwałem mu. Pokiwał głową.

- W kieszeni.

- Chcę je zobaczyć.

Pokazał mi je, ale trzymał je mocno, jakby się bał, że mu je wyrwę.

- Niech pan przeczyta numer na spodzie - powiedziałem.

Odwrocił pudełko. -3521201 000000. Numer się zgadzał.

- Powiadasz, że wiesz, po co były Sokołowi te czekoladki - powiedział (bardzo odpowiednim) grobowym głosem. - Mówisz, że chcesz ubić jakąś umowę. Jaką?

- Podzielimy się forszą - powiedziałem. - Pół na pół.

- Osiemdziesiąt procent dla mnie, dwadzieścia dla ciebie.

- Sześćdziesiąt dla pana, czterdzieści dla mnie.

Żonglowaliśmy liczbami. Nie miało to dla mnie żadnego znaczenia. Wiedziałem, że gdy tylko powiedziałbym Grubasowi, do czego służą maltanki, byłbym trupem, ale zależało mi, żeby trzymał pudełko w ręku, na widoku.

- Siedemdziesiąt, trzydzieści - oznajmił Grubas. - To moja ostatnia propozycja.

To była jego ostatnia propozycja. Za jego plecami zachrząścił piach, a gdy się odwrócił, zobaczył Gotta i Himmella, prowadzących Herberta. Nie widziałem brata od tygodnia. Schudł, biedaczysko.

Uśmiechnąłem się.

- Cześć, Herbercie - powiedziałem. Spojrzał na mnie urażony.

- Tim, a nie Herbert - wymamrotał.

Czasami braciszek naprawdę mnie zadziwia. Przez ostatni tydzień przeżyłem porwanie, uwięzienie, pogoń po supermarkecie, groźby, moczenie nóg w betonie i wybuch granatu. Sam Herbert został aresztowany pod zarzutem morderstwa, a potem go porwano. Nie mieliśmy broni i byliśmy w towarzystwie trzech psychopatycznych morderców, a on się przejmował imionami.

- Jak się masz... Tim? - zapytałem.

- Dobrze - powiedział. Namyślił się. - Właściwie cieknie mi z nosa i...

- Wystarczy - przerwał mu Grubas. - O co w tym wszystkim chodzi?

- Zna ich pan? - zapytałem go. Łypnął na Gotta i Himmella spode łba.

- Tak, znam - odparł.

- Jeżeli ta świnia chce nas oszukać... - zaczął Gott.

- Robię to, co mówiłem, że zrobię - wtrąciłem się. - Obiecałem, że doprowadzę was do maltanek w zamian za uwolnienie Herberta, to znaczy Tima. - Pokazałem ręką Grubasa, który

wciąż trzymał w dłoni czekoladki. - Oto one. A Grubasowi obiecałem, że powiem, do czego służą maltanki. Jeżeli nie macie nic przeciwko temu, zamierzam dotrzymać słowa.

Nikt nic nie powiedział. Zerwał się mroźny wiatr. Atmosfera robiła się coraz chłodniejsza, i chciałem mieć to wszystko jak najszybciej za sobą.

- Dobrze - odezwał się Gott.

- Tak, zgoda - powiedział Grubas.

- W porządku - zacząłem. - Z tymi czekoladkami to jest tak. Henry von Sokółka był bardzo ostrożnym człowiekiem, nie ufał nikomu. Miał w Londynie trzy i pół miliona funtów w diamentach, które złożył w sekretnym sejfie zaprojektowanym specjalnie do tego celu. Nawet klucz do sejfu był niezwykle. Został pomyślany w taki sposób, aby nikt się nie domyślał, że to klucz. Jedynie Sokół o tym wiedział. Tylko w taki sposób mógł się czuć bezpiecznie. Sejf został zaprojektowany przez świętej pamięci Profesora, nieodżałowanego pana Jojko. Profesor musiał chyba skonstruować jakieś urządzenie, dzięki któremu von Sokółka mógłby wybrać swój własny szyfr. Pewnie nie było to zbyt trudne, bo kluczem był kod kreskowy. Można go było ukryć na puszcze fasolki, opakowaniu talii kart albo na pudełku czekoladek. Sokół zabierał ze sobą klucz za każdym razem, kiedy przyjeżdżał do Londynu. Gdyby został przeszukany przez policję, nie musiał się niczego obawiać. Kto mógłby podejrzewać, że kilka czarnych kresek na pudełku słodczy to klucz do fortuny? Ale był jeden kruczek.

- Taki piesek, Kruczek? - wypalił zdezorientowany Herbert.

- Nie, nie piesek - powiedziałem, nie wierząc własnym uszom. - Chodzi mi o pewien istotny szczegół. Sokół umieścił pod kodem numer, który był podpowiedzią, gdzie znaleźć sejf. Nie wiem, dlaczego to zrobił. Może po prostu miał dziwne poczucie humoru albo chciał, żeby jego spadkobiercy mogli się nad tym pogłowić. W każdym razie ten numer to 352-12-01 i kilka zer na końcu, żeby wydawał się dłuższy. Zapisałem go dla brata w dzień pogrzebu Sokoła. To telefon cmentarza Brompton.

Podszedłem do grobowca. Stałem na palcach i przetarłem rękawem oczy sokoła. Tak jak przewidywałem, nie były zrobione z kamienia. Były szklane.

- I gdzie się znajduje ten genialny sejf? - zapytałem. - Właśnie przed nim stoicie. Sokół kazał go wykonać w kształcie grobowca. Widzicie napis? „Blask zorzy” to światło słoneczne, dzięki któremu można otworzyć skarbiec. Johnny Neapol usiłował mi to powiedzieć, mówiąc „słońce”. Nie będę wam tłumaczył, jak działa kod kreskowy, bo sam tego nie rozumiem. Ale w każdym razie patrzycie na pierwszy słoneczny czytnik kodu kreskowego. Trzeba Profesorowi przyznać, że chociaż był pijakiem i dziwakiem, miał łeb nie

od parady. Słońce wpada do środka przez oczy rzeźby. Wystarczy wsunąć kod kreskowy do dzioba ptaka. Gdzieś w środku znajduje się fotokomórka, mały komputer i urządzenie otwierające. Wszystko zasilane energią słoneczną. Jak się ma właściwy kod, sejf stoi otworem. - Wskazałem palcem maltanki w rękę Grubasa. - A to jest właściwy kod - dodałem. - To wszystko.

Wszyscy milczeli. Tylko Herbert wyglądał na całkiem zbitego z tropu. Rzecz jasna nie zrozumiał ani słowa z tego, co powiedziałem.

Nie byłem do końca pewien, co miało się teraz stać, ale w zarysie wyobrażałem to sobie następująco; Grubas nie będzie chciał się dzielić diamentami z Gottem i Himmellem, a ci z kolei nie będą chcieli oddać diamentów Grubasowi. Ale wszyscy wiedzą, jak je zdobyć. Herbert i ja przestaniemy się w ogóle liczyć. Nikt nie będzie się już nami interesował. Wymkniemy się i będziemy żyli długo i szczęśliwie, a nasi starzy przyjaciele sami załatwią między sobą problem diamentów. Tak było w zarysie. Ale oczywiście wszystko przebiegło zupełnie inaczej.

To się stało prawie jednocześnie.

Grubas, jak gdyby nigdy nic, uniósł laskę i wycelował jej koniec w Himmella. W tym samym czasie dłoń Gotta zanurzyła się niepostrzeżenie w kieszeni. Huk obu strzałów złął się w jedno. Himmell spojrzał w dół. Miał dziurę w klatce piersiowej. Grubas opuścił strzelającą laskę, z końca której unosiła się smużka dymu. Uśmiechał się, ale nie na długo. Zmarszczył ze zdziwieniem brwi i uniósł rękę. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że został postrzelony w szyję. Tym razem Gott nie użył tłumika.

Himmell i Grubas osunęli się jednocześnie na ziemię. Maltanki upadły na trawę. Ostatnie drażetki wyturlały się z pudełka.

- Podnieś to - rozkazał Gott.

Wziąłem pudełko. Usłyszałem dziwne chrzęszczenie. Nie wiedziałem, co to. Wydało mi się, że jest trochę za wcześnie na koniki polne, i wtedy dotarło do mnie, że to Herbert zgrzyta zębami.

- Dawaj pudełko - powiedział Gott. Zastosowałem się do rozkazu, a potem cofnąłem się o parę kroków. Teraz stałem tuż obok Herberta. Gott wyciągnął pistolet z kieszeni. Jego twarz była oklejona niezliczoną ilością plastrów, więc nie mogłem być pewien, ale zdawało mi się, że uśmiecha się jeszcze szerzej niż zwykle.

- Nawet mi się to podoba - powiedział. Padły dwa strzały.

Herbert chwycił się oburącz za brzuch, skulił się i jęknął żałośnie.

- Nick... - wykrztusił, osuwając się na pobliski nagrobek.

Popatrzyłem na niego.

- Wstawaj, Tim - powiedziałem.

- Ale zostałem postrzelony.

- Nie zostałeś. Uniósł dłoń do twarzy i wlepił w nią przerażone gały.

Zadarł koszulę i zaczął się przyglądać brzuchowi. Nie znalazł żadnej rany, nawet draśnięcia. Zaczerwienił się po uszy.

- Przepraszam... - wymamrotał.

Gott przyglądał się całej scenie dziwnymi bezmyślnymi oczami. Nagle runął twarzą na ziemię z dwiema dziurami w plecach. Nie miał nawet czasu wystrzelić z trzymanego kurczowo pistoletu.

Za Gottem pojawiła się jakaś postać, która ruszyła w naszym kierunku. To była największa niespodzianka tego dnia - Betty Sprzątaczką.

- Witam, paniczu Nicholasie - zagulgotała.

Jak zwykle miała na nogach ranne pantofle, a głowę upstrzoną rabatkami sztucznych kwiatków.

- Jejuńciu, panie Timothy! Niech mnie gęś kopnie! Co za niespodziewany zwrot akcji, co?

- Betty! - wykrzyknął Herbert. - Co ty robisz... - Nie dokończył, tylko wetknął paluch do gęby i zamilkł.

Betty trzymała pistolet. Ten, który przed chwilą zabił Gotta.

Z uśmiechem na pomarszczonych ustach zdjęła kapelusz i odrzuciła go na trawę. Za kapeluszem poszła peruka nastroszonych kręconych włosów. Jeszcze raz podniosła rękę, ale tym razem chwyciła się za własny policzek i zaczęła go ciągnąć. Skóra napięła się jak guma, a potem urwała wraz ze wszystkim zmarszczkami i pudrem. Betty przeobrażała się na naszych oczach, tylko jej pistolet ani drgnął.

Betty Sprzątaczką przestała istnieć, a na jej miejsce pojawiła się inna kobieta.

- Kto to taki? - szepnął Herbert.

- Beatrice von Sokółka - powiedziałem. - Wdowa po Sokole. Snape powiedział nam, że kiedyś była wspaniałą aktorką. Wygląda na to, że Betty Sprzątaczką to jedna z jej ról.

- Zgadza się, chłopcy - oznajmiła Beatrice.

Rozejrzałem się podejrzliwie po cmentarzu. Nie zdziwiłbym się, gdyby obok zjawiał się aligator. Być może przebrany za jamnika.

- Ale... ale dlaczego? - zdziwił się Herbert.

- Musiałam znaleźć diamenty - odparła. - Fortunę mego nieodżałowanego męża. Kiedy karzeł dał wam paczkę, musiałam się do was zbliżyć. I wtedy zobaczyłam ogłoszenie.

- A Gott i Himmell pracowali dla pani - powiedziałem.

- Bystry z ciebie chłopak, Nick - mruknęła. - Skąd wiedziałeś?

Wzruszyłem ramionami.

- Powiedziałem pani, że wybieramy się do klubu Casablanca. Tylko pani o tym wiedziała, ale jakimś sposobem w klubie zjawili się Gott i Himmell i porwali Lauren Bacardi. Zaprowadziliśmy ich do niej.

Herbert spojrział na mnie zdumiony.

- Świetnie! - powiedział.

- To jeszcze nie wszystko. Dowiedzieli się o maltankach od Lauren i powiedzieli pani o tym. Dzięki temu wiedziała pani, o co prosić, kiedy odwiedziłam panią w Hampstead. Pracowaliście razem od samego początku.

- Dopóki nie stali się niepotrzebni - zauważyła Beatrice.

- To niewiarygodne - powiedział Herbert.

- Nie tak bardzo jak się wydaje - stwierdziłem. - Prawie się tego domyśliłem, kiedy byłem u pani Beatrice. Znała twoje prawdziwe imię. Nazwała cię Herbertem, a nie Timothyem. I jako Betty używała tych samych perfum. Lawendowych. Zapomniała o tym szczególe.

- Naprawdę jesteś bystry - powtórzyła Beatrice.

- Ale jest coś, czego nie rozumiem. Dlaczego w ogóle zabiła pani Johnny'ego Neapola?

Wzruszyła ramionami.

- To był wypadek. Gott i Himmell namierzili go w hotelu Luksus. Mieli go schwytać, ale chciałam się z nim najpierw zobaczyć. Weszłam do hotelu jako Betty Sprzątaczką. Nikt nie zwrócił na mnie uwagi. Zamierzałam go przekonać, żeby podzielił się ze mną tym, co znajdzie. Powiedziałam mu, że jestem jego jedyną nadzieją. Tylko ja mogłam powstrzymać Gotta i Himmella, a potem wykorzystać ich do przechytrzenia Grubasa. Ale Neapol był zbyt pazerny. Nie chciał o niczym słyszeć. Miał pistolet. Doszło do szamotaniny. Jak mówię, to był wypadek. - Westchnęła. - Niestety, teraz nie mogę sobie pozwolić na żadne nieprzewidziane zbiegi okoliczności. Obawiam się, że nie możecie opuścić cmentarza. Nie chcę mieć świadków. Pa, pa, paniczu Nicholasie! Zegnam pana, panie Herbercie.

Uniosła pistolet.

- O nie! - jęknął Herbert.

- Obawiam się, że nic z tego, pani Beatrice - powiedziałem.

Wdowa po Sokole utkwiała wzrok gdzieś za naszymi plecami, a na jej twarzy pojawił się wyraz przykrego zdziwienia. Opuściła pistolet i wybuchła nerwowym śmiechem. Nagle cmentarz zaroił się od policyjnych mundurów. Policyjne czapki wyłaniały się zza wysokiej trawy, zza nagrobków, skąd tylko się dało. Pierwsi dobiegli do nas Snape i Wrzontek.

- Ooo... Co za szczęśliwy zbieg okoliczności - zdziwił się Herbert.

- Zbieg okoliczności? Chyba ze mnie żartujesz, Herbercie - powiedziałem. - Zadzwoń do Snape'a wczoraj wieczorem. Chyba nie myślałeś, że przyjdę tutaj sam?

Wrzontek dopadł Beatrice von Sokółki, która wyciągnęła już ręce do założenia kajdanków, lecz Wrzontek rzucił się na nią jak pierwszoligowy gracz rugby i powalił ją na ziemię.

- Mógł pan przyjść wcześniej, panie nadinspektorze - powiedziałem do Snape'a. - Prawie zostaliśmy zabici.

- To prawda, chłoptasiu - przyznał Snape. - Ale... no cóż, to przez Wrzontka. Chciał zobaczyć, co się stanie. Poprosił, żebym poczekał, a przecież są święta i...

Policjanci zabrali się do oględzin zwłok. Snape pochylił się i podniósł pudełko po maltankach.

- Dobra, zobaczymy, jak to działa - powiedział. Podeszliśmy do grobowca. Kamienny sokół czekał na nas z rozpostartymi skrzydłami, rozchylonym dziobem i błyszczącymi w słońcu szklanymi ślepiami. Snape ostrożnie oddarł kod kreskowy. Wyrzucił pudełko, a następnie wetknął prądkowany prostokącik do dzioba. Nie do swojego, ma się rozumieć.

Gdzieś wewnątrz kamiennego łba soczewka skupiła promienie słoneczne i skierowała je na kawałek kartonu, a białe paski odbiły je na fotokomórkę. Usłyszeliśmy ciche pstryknięcie. Mechanizm zaczął działać. Coś zamruczało, zasilany baterią słoneczną silniczek obudził się do życia. Rozległ się cichy trzask i cała przednia płyta grobowca - razem z napisem - odsunęła się, ukazując dużą żelazną skrzynię.

I to była ostatnia niespodzianka dnia. Nie było żadnej świątecznej premii dla Snape'a ani nagrody dla nas. Ponieważ nie było diamentów. Skrzynia była pusta. Po prostu - pusta!

Maltanka Sokola

Ale Nick, ja nadal nic z tego nie rozumiem.

- Przecież powtórzyłem ci to już dwa razy, Herbercie.

- No... może, gdybyś to wszystko spisał... Wtedy może bym zrozumiał.

- Może i spiszę.

Był Nowy Rok, ale nic się nie zmieniło. Nadal było zimno. Nadal nie mieliśmy pieniędzy na zapłacenie rachunku za ogrzewanie. Jak zwykle została nam nędzna garść drobników, ale mieliśmy świetne święta. Dwa mrożone krokiety z indyka i przemówienie królowej - które niestety przegapiliśmy. Mama i tata przysłali nam kartkę z życzeniami i prezenty, ale nie poprawili nam specjalnie nastroju. Na kartce widniały dwa misie koala siedzące na udekorowanej bombkami choince. Ja dostałem w prezencie bumerang, a Herbert - korkowy kapelusz.

Wyrzuciłem swój prezent, ale wrócił.

Do rozpoczęcia następnego semestru miałem jeszcze parę tygodni i marzyłem, żeby wyjechać na narty. Wielu chłopaków z mojej klasy pojechało do Austrii albo Szwajcarii, albo gdzie indziej. To było niesprawiedliwe. Po tym wszystkim, przez co przeszedłem, nie było mnie nawet stać na bilet autobusowy, żeby odwiedzić biuro podróży.

Ale wtedy przyszła paczka. Specjalna przesyłka z południa Francji. Chyba wiedziałem, od kogo była, jeszcze zanim ją otworzyłem. Sejf Sokoła mógł być pusty tylko z jednego powodu. Nie podzieliłem się swoimi przypuszczeniami ze Snape'em i Wrzontkiem. Nawet Herbertowi o niczym nie powiedziałem.

- Co to? - spytał mój brat.

- Nie mam pojęcia.

- To otwórz.

Otworzyłem. Po zdarcie brązowego papieru zobaczyłem tekturowe pudełeczko wielkości czterech pudełek od zapalek. W środku było mnóstwo waty oraz jedna mlecznoczekoladowa, okrągła drażetka.

- Maltanka! - wykrzyknął Herbert i zbladł. Już nie przepadał za czekoladą. A maltanki nienawidził.

Do pudełka przyklejono karteczkę. Napisana odręcznie wiadomość nie była ani specjalnie długa, ani słodka.

Bez urazy LB

Bez urazy? Nie byłem tego taki pewien. Lauren sprzedała mi łzawą historię swojego życia - no i dobra, nie miała lekko - ale potem mnie oszukała. Od początku wiedziała więcej, niż mówiła. Może sama się domyśliła, a może Johnny Neapol jej powiedział, ale w każdym razie wiedziała o cmentarzu i grobowcu Sokoła. Dałem jej do rąk ostatni kawałek układanki, kiedy powiedziałem o kodzie kreskowym. I tamtego dnia w redakcji „Wiadomości Fulham” zdecydowała się ukraść diamenty. „Przypadkowo” zostawiła czekoladki na górze, a potem wróciła po nie i zrobiła ksero kodu.

Nie pojechała metrem do domu, tylko pobiegła na cmentarz. I wreszcie wsunęła fotokopię do dzioba rzeźby. Diamenty były jej.

Wziąłem maltankę i ścisnąłem ją w palcach. Byłem wściekły. Chciałem ją zgnieść. Ale nic z tego. W środku było coś twardego.

- Herbercie... - powiedziałem.

Spojrzał na czekoladkę. Rozkruszyła się. A w środku było coś błyszczącego.

- Co to takiego? - zapytał Herbert.

- A jak ci się wydaje? - powiedziałem. Oczyszciliśmy bryłkę z resztek czekoladowej polewy. Nie było wątpliwości: trzymałem w ręku diament wielkości orzecha. Ile mógł być wart? Dziesięć tysięcy funtów? Dwadzieścia tysięcy? Na pewno więcej niż paczka orzeszków.

Więc jednak będziemy mogli pojechać na narty. Herbert złamie nogę, wsiadając do samolotu, i wydamy całą forszę, nim zdążymy zapłacić za ogrzewanie. Ale co mi tam? Przecież jest karnawał.